

Nasza rozmowa z Lechem Wałęsą:
„Nie chciałem być Leninem”

str. 4-5

Jak Krzysztof Gardaś stanął na szczycie
Mont Blanc o kulach

str. 8-9

Roszady bankowe

str. 12

Mąż modny

str. 18

Kanioning - nowy szal!

str. 19

Piątek, 6 września 1996 r.

Nr 209 (15761) Rok LII ISSN 0137/9062 indeks 350028

DZIENNIK BAŁTYCKI
magazyn

Rejsy

ID 41534



Harley-Davidson:
motor-legenda.

Czytaj str. 22

ZMIOTŁA NAS POLITYKA

Listy

Katastrofa w Gibraltarze

Jeszcze nowsza wersja...

W związku z artykułem w „Rejsach” z dnia 26 lipca 1996 r. pod tytułem „Nowa wersja wydarzeń w Gibraltarze” jako były żołnierz II Korpusu czuję się w obowiązku zaprotestować przeciwko takiej redakcji komentarza wydarzeń, jaka została tam umieszczona. Nie neguję hipotezy, że działał tam Kim Philby „słynny agent sowiecki, przez całe lata świetnie zakonspirowany w samym centrum brytyjskich tajnych służb”, ale w tamtym czasie i w tym miejscu nie mógł działać jako agent sowiecki, ale tylko brytyjski agent z pomocą innych brytyjskich podrzędniejszych agentów

być może wykonujących jego rozkazy. Gibraltar był terenem wojskowo ściśle angielskim i wszelkie działania na jego terenie musiały (tak, musiały) podlegać rozkazom wyższego dowództwa angielskiego (właściwie brytyjskiego) i nie do pomyślenia i wbrew logice byłoby twierdzenie, że Kim Philby mógł tutaj działać tylko jako agent sowiecki, o nie, tu mógł wystąpić tylko jako agent brytyjski w wypadku tak ważnej osoby jak generał Sikorski tylko za wiedzą najwyższego dowództwa, bardzo prawdopodobnie nawet samego Churchilla. Tak więc słowa przy końcu artykułu „hipote-

za zamachu dokonanego na rozkaz Stalina i Berii” są fałszywe i chybione. Stalin i Beria w Gibraltarze nie mieli nic do rozkazywania, to nie był ich teren, powinno być „dokonanego przez tajne służby brytyjskie, które w ten sposób uczyniły zadość życzeniom Stalina i Berii, być może uzgodnionych przez nich z brytyjskim i amerykańskim partnerem Wielkiej Trójki?” To chyba będzie bliższe prawdy, niż drukowana redakcja artykułu. I nie bójmy się, nie trzeba zacierania prawdy, palmy pierwszeństwa jako największemu mordercy i największej kanalii wszech czasów nikt Stalino-

wi nie odbierze, jak nikt dziś nie powie, że Katyń to zbrodnia niemiecka, choć Hitler tylko niewiele jako zbrodniarz ustępuje Stalinowi. Tak więc tego rodzaju redakcja bardzo ciekawego i pożytecznego artykułu jest trochę tendencyjna. Po co? By wybielić Anglików, czy po to by rzucić jakiś cień na dzisiejszą lewicę, która jest jak jest, ale na pewno jest poza wszelkim podejrzeniem w tej sprawie, jak i w innych, choć pogrobownicy NKWD i SB próbowali je na nią rzucić, co jest już zupełnie inną historią (jak powiada Kipling).

Bolesław Duch

Klejnot starej Oliwy

Pałac podpalił Niemcy

Szanowna Pani Redaktor, w „Rejsach” z 26 lipca, w ciekawym (jak zwykle) artykule dr Jerzego Sampa „Klejnot starej Oliwy” przeczytałem, że oliwski Pałac Opatów „w czasie ostatniej wojny... legł w gruzach”. Jest to prawda, ale niepełna. Sądzę, że Czytelnicy byłiby zainteresowani informacją, że pałac pod koniec wojny zamieniono na magazyn materiałów wojskowych. Przed wycofaniem się z Oliwy spalony przez żołnierzy niemieckich spłonął całkowicie (pozostały tylko wypalone mury).

Piszą o tym E. Klamann i St. Podgórczyk (Gdańsk 1981), F. Mamuszka (Gdańsk 1985) i H. Lingenberg (Lubeka 1986).

Spalenie tego cennego obiektu nastąpiło w wyniku realizacji rozkazu Hitlera z 19.03.1945 o pozostawieniu aliantom tylko pustyni; vide liczne źródła, m.in. Dokumenty Norymberskie - Speer Documents, A. Bullock (Warszawa 1969) i H. G. Siegler (Düsseldorf 1991). W rejonie Gdańska rozkaz ten wykonano tylko częściowo. „Polskie wzgórze Pacholek” (tak w tekście) to zapewne pobliskie wzgórze.

Z poważaniem

prof. dr inż.
Wiesław Gruszkowski
architekt urbanista

GRATIS!

OC AC NW



ESCORT
1.6 i, 16 V, CL
4-drzwiowy

UBEZPIECZENIE
OC, AC, NW
w PZU
za darmo!



MONDEO
1.6 i, 16 V, CLX
4-drzwiowy

OSTATNIE samochody w kontyngencie !

TYLKO



Euro-Car

81-020 Gdynia, ul. Owsiana 13, tel. (058) 23 68 08, 29 73 65, fax (058) 23 69 98

WSZYSTKO, CO WAŻNE W NAUCE JĘZYKA

ELS-Bell School of English i Zespół Lektorów BEST

zapraszają dzieci, młodzież i dorosłych do swoich szkół językowych na:

naukę angielskiego i niemieckiego na wszystkich poziomach zaawansowania ♦ kursy egzaminacyjne Cambridge: PET, FCE, CAE, Proficiency
♦ kursy ZDaF, ZMP (BEST) ♦ kursy przygotowujące do liceów z rozszerzonym i wykładowym angielskim (ELS-Bell) ♦ kursy ogólne

W naszych szkołach znajdują Państwo:

całościowy, wieloletni program nauczania ♦ interesujące zajęcia lekcyjne ♦ stałą troskę o spełnienie Państwa oczekiwań
♦ indywidualną opiekę pedagogiczną ♦ regularną informację o postępach

ELS  Bell

In association with the Bell Educational Trust, Cambridge

ANGIELSKI

Co wyróżnia szkoły ELS-Bell:

ELS-Bell prowadzi nauczanie angielskiego w swych własnych siedzibach i w bardzo małych grupach (max. 10 osób). Dzięki temu na zajęciach nie ma anonimowości, nauka odbywa się szybciej, przyjemniej i skuteczniej, a nadzór dydaktyczny Bella gwarantuje najwyższą jakość nauczania.

Teraz szkoła ELS-Bell w Gdyni ma wreszcie nową, własną siedzibę!

ELS-Bell School of English
Oliwa, Polanki 110, ☎ 52 47 81, 9-18.30
Gdynia, Mściwoja 9/2, ☎ 52 47 81, 12-18.30

Testuj swoje szanse!

ELS-Bell i BEST zapraszają:

♦ Osoby pragnące sprawdzić swoje szanse powodzenia w nowym FCE na kompleksowy test diagnostyczny, którego wyniki wskażą optymalny termin przystąpienia do egzaminu.

14 września, godz. 10, sala 3.

Wydział Mat.-Fiz. UG, ul. Wita Stwosza 55

♦ Uczniów klas VII i VIII na kompleksowy test diagnostyczny, sprawdzający ich przygotowanie do egzaminów wstępnych z angielskiego do liceów z językiem rozszerzonym i wykładowym, dający wskazówki co do dalszej nauki.

11 września, godz. 17, sala 036,

Wydział Filolog.-Hist. UG, ul. Wita Stwosza 55

Informacje i zapisy w obu szkołach
lub bezpośrednio przed testami

best

zespół lektorów

ANGIELSKI NIEMIECKI

Szkoły Best to:

- troska o Państwa postępy w nauce
- atrakcyjne programy nauczania dzieci
- nowy typ kursów języka dla potrzeb pracy pod nazwą 'English for Work'

W nowym roku szkolnym BEST zaprasza na kursy także w Gdyni!

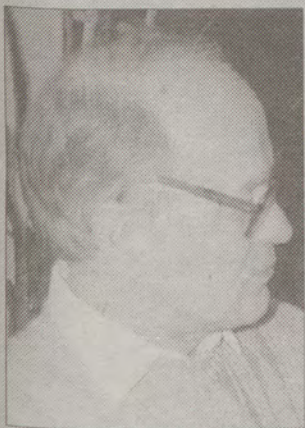
Zespół Lektorów BEST

Wrzeszcz, Pestalozziego 11/13 ☎ 41 29 02 w. 6, 14-18
Gdynia, VI LO, Kopernika 34, ☎ 22 22 33, 14-18

ELS-Bell School of English i Zespół Lektorów BEST są zweryfikowanymi członkami-założycielami stowarzyszenia PASE

o tym
się mówi

Co państwo sądzą o nowym wojewodzie?



Marian Adamczyk z Władysławowa

- Wolalbym Macieja Płażyńskiego. Interesował się terenem, zapisał się dobrze w pamięci. Najbardziej nie podoba mi się to, że większość społeczeństwa sprzeciwiała się powołaniu na wojewodę Henryka Wojciechowskiego i nie zostało to wzięte pod uwagę. Jak w przyszłości nasze opinie będą postrzegane? Czy zdanie mieszkańców zostanie uwzględnione?

(K.N.)

Fot. Kazimierz Netka



Mirosława Lehman z Kartuz

- Niewiele o nim wiem, poza tym, że wywodzi się z SLD, ugrupowania, które mi nie odpowiada, bo nie widać pozytywnych efektów jego działania. Myślę, że za mało czasu, aby oceniać nowego wojewodę. Jednak propozycje przedstawionych przez niego zmian są mało konkretne, a zastraszanie się biedą służby zdrowia nie jest przecież niczym odkrywczym.

(TG)

Fot. Tadeusz Gruchalla



Ewa Polcyn z Gdańska

- Nie chciałabym oceniać nowego wojewody w tej chwili. Uważam, że należy poczekać z tym do czasu, gdy pojawią się pierwsze efekty jego działalności. Będę się mu bacznie przyglądać, zwłaszcza, że moje poglądy polityczne różnią się zdecydowanie od jego poglądów.

(af)

Fot. Robert Kwiatek



Beata Urbanika, mieszkanka Gdańska

- Nie odpowiada mi, bo mamy inne poglądy polityczne i inny światopogląd. Ponadto bulwersuje mnie fakt, że jest on jednocześnie szefem partii politycznej i pełni wysoką funkcję w administracji państwowej. Mimo że osobiście go nie znam, nie sądzę, żeby zrobił coś pozytywnego dla naszego województwa, gdyż partia, którą reprezentuje nie dobrego naszemu krajowi nie przyniosła.

(mig)

Fot. Maciej Kostun

magazyn Rejsy

6 września 1996

Od redaktora



W okresie wakacyjnym, ze swej natury bardziej swawolnym i beztroskim, staraliśmy się unikać - na ile to, oczywiście, było możliwe - polityki. Ale wakacje się skończyły i ona to, polityka, wpycha się nam do numeru z wielu stron, jakby tylko na to czekała, jakby chciała odrobić stracone pozycje.

I tak Barbara Madajczyk-Krasowska rozmawia z Lechem Wałęsą, jednym z Wielkich Aktorów na politycznej scenie. Ostatnie dni pokazały, że jego rola bynajmniej się nie skończyła i - kto wie? - być może najważniejsza scena sztuki narodowej, w której los dał mu zagrać, jest jeszcze przed nim...

Polityka narzuca wręcz tok narracji bardzo osobistej opowieści Piotra Bazyłko, wydawcy telewizyjnego „Pulsu Dnia”, który opisuje na naszych łamach perypetie, związane z przygotowaniem tego programu oraz ze zdjęciem go z anteny przez obecne kierownictwo TVP. Tytuł „Zmiotła nas polityka” jest kwintesencją tego wyznania.

Jak ogólnie wiadomo, kto ma pieniądze, ten ma władzę. O mechanizmach, pozwalających na to, by pieniądze podatnika - bez jego zgody, oczywiście - trafiały poza budżetową ewidencją do spółek, agencji lub fundacji, związanych z partiami politycznymi, pisze Jan Kreft. A także o dokonywanych w tym celu, bez jakiegokolwiek żenady, roszadach bankowych.

Nasi felietoniści, przynajmniej niektórzy, też spoważnieli, powróciwszy z urlopów. Zarówno Janina Wieczerska, jak i Piotr Dominiak, oboje - chociaż zupełnie inaczej - pytają o to samo: jak nam się żyje dzisiaj w odniesieniu do czasów PRL. Oboje dochodzą do tego samego wniosku - po prostu inaczej. Jednym zdecydowanie lepiej, innym zdecydowanie gorzej. Polityka ma w tym także swój niemały udział.

Aleksandra Paprocka



Rejsy

Redagują: Aleksandra Paprocka, Tadeusz Skutnik (kierownik).
Opracowanie graficzne: Krzysztof Ignatowicz, Studio BUM.
Stale współpracują: Piotr Dominiak, Grzegorz Kurkiewicz,
Jerzy Samp, Janina Wieczerska.
Tel. 31-79-26; 31-50-41 w. 350, 351

Nasze rozmowy

*W demokracji
rządzą partie
polityczne.
Jeśli się nie
zorganizujemy,
to będzie
rządzić
największa,
najbogatsza
postkomuna.*



Fot. Robert Kwiatkowski

Nie chciałem być Leninem

*Z Lechem Wałęsą,
byłym prezydentem
RP, rozmawia
Barbara Madajczyk-
Krasowska*

- Pańskie poparcie dla Akcji Wyborczej „Solidarność” niko- go nie zaskoczyło. Natomiast równoczesne, zdecydowane po- parcie dla Unii Wolności wywo- łało niezadowolenie wśród nie- których działaczy „Solidarno- ści”.

- Jeszcze raz przypominam wszystkim działaczom, szcze- gólnie z roku osiemdziesiątego: naszym zadaniem po przewróce- niu komunizmu było budowanie pluralizmu politycznego. Unia Wolności jest jedyną partią, któ- ra dzisiaj ma szansę bez pomocy przejść próg wyborczy. Ja mam do niej też wiele pretensji, ale nie mogę jej odmówić prawa

uczestniczenia w życiu publicz- nym.

- Będzie pan dążył do połą- czenia Akcji Wyborczej „S” z Unią Wolności?

- To nie moja sprawa. Powie- działbym inaczej. Jeśli ocenia- my, że Unia nie przekroczy pro- gu pięcioprocentowego, bo bę- dzie miała na przykład cztery, procent, to szkoda byłoby stracić te procenty, bo daje to kilkadzie- siąt miejsc w parlamencie. Jeśli natomiast uważamy, że ma szan- se na pięć procent, to nie prze- szkadzajmy, niech ona robi swo- je i niech idzie oddzielnie. Ale nie walczmy z nią, walczmy z komunistami. Nie można się

tak zachowywać, jak od szesna- stego sierpnia osiemdziesiątego roku zachowują się Walentyno- wicz, Gwiazdowie i inni. Że walczą ze swoimi, a w ogóle nie walczą z komunistami.

- Ma pan na myśli wypo- wiedź Anny Walentynowicz, która stwierdziła, że trzeba pana wyeliminować z politycznej sce- ny?

- Między innymi. A jednocze- śnie niech pani Walentynowicz pamięta, że to ona najbardziej pomogła wyeliminować mnie i innych. Dołożyła „Solidarno- ści” przez swoje paszkwile.

- Nie chciałabym rozmawiać o pani Walentynowicz...

- Zaraz, zaraz. Ludzie różnie reaguja.

- Ale pan przed chwilą mó- wił, żeby się nie zwalczać.

- Ja nie zwalczam, tylko zwracam uwagę, że tak postę- pować nie wolno. Dlatego popar- łem Mariana Krzaklewskiego. Powiedziałem, że wszyscy, któ- rzy mają coś do powiedzenia i są z pnia wolnościowego, powinni stanąć obok Krzaklewskiego i Akcji „Solidarność”. Wtedy uda nam się usunąć postkomuni- stów.

- A jeżeli Unia, jak pan po- wiedział, będzie na granicy pro- gu wyborczego?

- Chwała Unii, jeśli przekro- czy pięcioprocentowy próg, ale jeśli nie miałaby szans, to po- winna podzielić swój kapitał in- telektualny między inne prawi- cowe i centrowe partie. Natom- iast unijni socjaldemokrati i lewacy niech założą prawdziwą socjaldemokrację i niech ogło- szą: my jesteśmy lewica, ale nie pachołki Moskwy...

- Będzie pan się starał, żeby „Solidarność” pomogła Unii zwyciężyć?

- Nie. Trzeba jednak parę spraw przewidzieć. Na przykład Unia wchodzi i jest najliczniej- szą partią w parlamencie. Akcja Wyborcza „Solidarność”, jako

całość, zdobywa więcej procent, ale każda z partii tego bloku ma mniej mandatów, niż Unia. W tym układzie to ona powinna tworzyć rząd.

- Jacek Rybicki, pomysło- dawca Akcji, uważa, że powinna ona przekształcić się w masową formację polityczną i to ona ma utworzyć rząd.

- Ci panowie, na czele z Ry- bickim, popełnią błąd, który my popełniliśmy, tworząc Komitet Obywatelski, który przejął wła- dzę ustawodawczą i wykonaw- czą. „Solidarność” do dziś płaci za to cenę, ponieważ jej poparcie spadło z osiemdziesięciu do nie- całych dwudziestu procent. My



- To pani ma pretensję do garbatego, że ma proste dzieci. Że postkomuna się zorganizowała i jest lepsza, i szybsza.

Fot. Robert Kwiatek

to musieliśmy zrobić, bo nie było wtedy żadnych partii. Natomiast dzisiaj takiej konieczności nie ma. Jeśli chcą to powtórzyć, to niech nie nazywają się Akcją, lecz Komitetem Obywatelskim przy Rybickim, czy Krzaklewskim, tak jak wtedy był przy Lechu Wałęsie. Jeśli coś takiego będą kombinować, to jestem przekonany, że rozbiją Akcję Wyborczą „S”. Partie polityczne, choć mizernie, nie zgodzą się na coś takiego. Nie powinny się zgodzić! Partie są słabe, ale one rosną. Związek niech się zajmie swoimi sprawami i kontrolą zobowiązań, które partie podejmują. I to jest jego dobra rola.

- Czy po wyborach Akcja Wyborcza „S” ma się rozwinąć?

- Akcja Wyborcza powinna zrobić dwie rzeczy: pomóc słabym partiom wolnościowym wejść do parlamentu. W parlamencie ma być w całości, ale powinna podzielić się na dwa zadania. Ludzie z „Solidarności” powinni pilnować partyjnej władzy wykonawczej, a ludzie z partii powinni się zająć objęciem władzy wykonawczej i wzmocnieniem swoich partii.

- Ale niektórzy działacze „S” chcą zostać politykami.

- To popełniają ten sam błąd, który my zrobiliśmy, gdy nie było partii. Tylko niech pamiętają, że my prawie zniszczyliśmy ten związek, który do dziś płaci za nas cenę. Czy znowu ma ją płacić? Nie wolno do tego dopuścić.

- Pod pomnikiem Poległych Stoczniovców w Gdańsku, w szesnastą rocznicę narodzin „Solidarności”, apelował pan, żeby zapisywać się do partii. Tymczasem według ostatnich badań OBOP, Ruch Odbudowy Polski jest trzecią siłą po Akcji Wyborczej „S” i SLD. Pan mówi, że ROP skupia nerwowych ludzi i demagogów. Dlaczego pan ich nie lubi?

- Nie chodzi o to, czy lubię, czy nie. Paru ludzi zrobiło mi wiele nieprzyjemności i właściwie pomogło komunistom w walce z wolną Polską.

- Kto?

- Olszewski, Macierewicz i inni. Postkomuna zostawiła materiały, a oni je wykorzystali przeciwko nam.

- Chodzi panu o listy agentów?

- Tak. W okresie wielkich zmian ludzie są niezadowoleni, negują wszystko. Trudno z nimi dojść do słowa; porozmawiać się nie da, bo krzyczą, wyzywają. Nie chcą słuchać argumentów, że nie da się pewnych rzeczy zrobić.... Ludzie tacy są. A że skupili się w tej partii? To bardzo dobrze. Lepiej, gdy oni są zorganizowani, niż by podpalali, burzyli i wiele innych rzeczy.

- Będzie ich pan zwalczał?

- W żadnym wypadku. Oni są potrzebni, jak ten ptaszek na nosorożcu, który wybiera robaki. Taka partia jest potrzebna.

- Na konferencji dotyczącej Sierpnia, stwierdził pan, że gdyby miał powtórzyć całą swoją życiową drogę, to nie by pan nie zmienił. Nie ma pan żadnych wyrzutów? Nie żałuje pan nawet, że zachęcał do budowania „lewej nogi”?

- To mi dopisano i dopisuje się do dzisiaj. Ja tylko mówiłem, w okresie bardzo niebezpiecznym, że nie spychajmy tych ludzi, którzy potrafią walczyć i są siłą do dzisiaj. Mówiłem - nie spychajmy ich do podziemia, bo ja byłem w podziemiu i wiem, że lepiej jest stworzyć warunki do pracy w tym samym kierunku i przy zachowaniu swojej odrębności. W Polsce jest postkomuna, są ludzie tej orientacji, dlatego należy stworzyć im warunki, a przestępców pozamykać i rozliczyć. I to ja podtrzymuję.

- Czy zna pan kraj, który umiał wykorzystać zwycięstwo nad komunistami?

- Nie.

- A Czechy?

- Co pani mówi, kto wygrał?

- W wyborach komuniści przegrali....

- Proszę pani, Czechy to specjalny przypadek. Oni oddali najcięższy przemysł, proletariat Słowakom. Po drugie - wcale nie wygrały, dopiero teraz mają problemy. To inny przypadek: podzielone państwo, zostawili problemy Słowakom.

- Przedtem przeprowadzili dekomunizację, lustrację...

- Niech pani się zapyta tych polityków, gdzie są komuniści? Przecież się nie rozplynęli.

- Pytałam. Pracują w biznesie.

- I co?

- Nie mają władzy politycznej.

- Największym błędem naszej komuny jest to, co teraz zrobili - rozwiązali nam „okrągły stół”, Magdalenki. Wszystko.

- Chodzi panu o to, że nie dotrzymali umów?

- Nie. Siedliśmy z komuną do stołu i to już było niemoralne. Gdyby teraz napisał do mnie któryś z generałów i stwierdził: my z panem to usiedliśmy do stołu, a pan nas zamyka, pan nie różni się od Lenina i komunistów. Ja bym miał moralnego kaca.

- Bez przesady z tym zamykaniem. Nie można było wcześniej zrobić wolnych wyborów?

- A jak pani chciała zrobić te wybory? Pani znów myli pojęcie. Co innego jest walka, rewolucyjnie zdobywam prezydenturę, a co innego jest demokracja.

- Mówię o wyborach, które mogły być szybciej zorganizowane, po tych częściowo demokratycznych w osiemdziesiątym dziewiątym roku, czyli kontraktowych.

- Przegraliśmy przez to, że rozbiliśmy ruch, to prawda. Ale kiedy mieliśmy założyć partię?

- Ale Czechom się udało.

- W żadnym wypadku nie zamieniłbym się na czeską sytuację, wolę polską. Niech tylko

pani wyjedzie trochę dalej za Pragę, to pani zobaczy...

- Byłam.

- To niech pani nie opowiada głupot. Do jakiej partii pani należy?

- Żadnej.

- Dziękuję, pani pomaga komunistom, pani nie rozumie demokracji. Demokracja to partia

polityczna, to wybory, programy.

- Dziennikarz powinien być partyjny?

- Ilu ludzi pani namówiła do partii politycznych?

- Nie moją rolą jest namawiać.

- To pani ma pretensję do garbatego, że ma proste dzieci. Że

postkomuna się zorganizowała i jest lepsza, i szybsza. Powtarzam - w demokracji rządzą partie polityczne. Jeśli się nie zorganizujemy, to będzie rządzić największa, najbogatsza postkomuna.

- Prozmawiamy o Stoczni Gdańskiej. Bez niej prawdopodobnie nie byłoby „Solidarności”, ona pana ukształtowała, a teraz upada. Czy to nie jest dla pana osobisty dramat?

- Oczywiście tak. Ale teraz jesteśmy w innym miejscu i czasie. Teraz, w dobie komputerów, pozbieramy się. Już popełniono wiele błędów. To jest jednak decyzja polityczna, oczywiście, o zabarwieniu ekonomicznym. Ja pomagałem Stoczni Gdańskiej maksymalnie, tak samo jak szczecińskiej i gdyńskiej. Pierwsza już padła, druga jest w zagrożeniu, a trzecia niezbyt do brze stoi. Polski przemysł okrętowy jest źle zarządzany. Warszawscy ministrowie na nim się nie znają.

- Będąc prezydentem, nie mógł pan uratować Stoczni Gdańskiej?

- Mój błąd polegał na tym, że ja pomagałem im i wierzyłem, że mądzy ludzie ze stoczni zrobią porządek. Przecież nie mogłem rozwiązywać wewnętrznych problemów stoczni. Nie mogłem się brać za organizacyjne sprawy. Wierzyłem w stoczniovców, kierownictwo, że oni to zrobią dla swojego interesu. A oni nie zrobili. Może chcieli, ale nie mogli. Ja spełniłem ich wszystkie życzenia, żądania kierownictwa, związków, więc o co do mnie pretensje? Teraz czekam, nie mieszam się. Zawsze będę się czuł stoczniovcem i będę pomagał stoczniovców na miarę swoich możliwości.

- Dziękuję za rozmowę.



Unia Wolności jest jedyną partią, która dzisiaj ma szansę bez pomocy przejść próg wyborczy. Więc nie przeszkadzajmy, niech ona robi swoje i niech idzie oddzielnie. Ale nie walczmy z nią, walczmy z komunistami.

Fot. Robert Kwiatek

Przeprze lepsze
czy nie przeprze?

Wyspiarze

Pomysły humanisty

Rzuciło mnie latoś w strony dotąd mi nie znane. Pragnące gościć mnie towarzystwo miało czekać z autem w Sulechowie. Wykombinowałam sobie, że to następna stacja za Zbąszyniem, w odpowiednim momencie ruszyłam do wyjścia. Na szczęście uaniem czytać i w porę spostrzegłam, że to jeszcze nie Sulechów, a Babimost. Babimost! - no, to wreszcie jestem w domu, tj. w okolicy przynajmniej literacko mi oswojonej. To przecież nieodżałowanej pamięci Leszek Prorok opiewał te strony w powieści „Wyspiarze” o wyspach polskości odciętych w r. 1920 granicą od Wielkopolski.

Niebawem miało się okazać, że tytuł powieści Proroka dalby się spożytkować i dziś, tylko w zastosowaniu do innego „wyspiarstwa”. Zaobserwowałam je już pierwszego dnia, kiedy pochodziłam po wsi, obok której mieściło się wczasowisko. Oto pięknie odnowiony dom, obok schludne obejście, jedno i drugie ukwiecone, nawet bardzo pomysłowo, bo nie tylko różnościami kwiatów, ale jeszcze na kupie gruzów po budowie - skalniak, że tylko pozadziwić. Pozadziwił pewnie sąsiad, bo i jego ogród pyszni się daliami, floksami i dobrze prowadzonymi drzewami owocowymi. Następne gospodarstwo - wcale, sądząc po zabudowaniach, nie uboższe, ale pełne chwastów, śmieci, z koślawym płotem i krzywą bramą. Potem, po pewnym odcinku śmieciżny-koślawizny, znowu wyspa ład, estetyki, zadbania o szczegóły. I tak na przemian, w stosunku fifty-fifty, tak że właściwie już trudno rozstrzygnąć, jacy wyspiarze są góra: ci porządni, gospodarni, czy nieporządni niedbaluchy.

Jezdźliśmy potem trochę po okolicy i wszędzie było tak, jak w opisanym wyżej Wojnowie. Słynny z zabytkowego kościółka Klepsk: otoczenie kościoła przesłizne, ale sąsiadująca z nim posesja (była pastorkówka? Kościół był dawniej luteranski) - brud, smród i żadnej ambicji dorównania otoczeniu. Karpowa - też fifty-fifty. Ale już Stare, a zwłaszcza Nowe Kramsko (stolica dawnej polskiej „wyspy”) całe jak książeczki dla grzesznych dzieci: tu i ówdzie ubogo, ale wszędzie chędogo. Także w Babimostcie, o uroczym rynku, odpocowanym na co dzień tak jak dawniej pracowano przed przyjazdem Gierka.

Wolsztyn, w którym zatrzymaliśmy się już w drodze powrotnej, to cud-miód, sama śliczność i zadbanie. Kolorowo, kwietnie, przyjaźnie, wygodnie. Jako niemiecki ogródkowicz, wpakowałam paluch w betonową makro-donice, jakie tam zdobią każdą szerszą ulicę: ziemia wilgotna, choć to późne popołudnie i deszczu dawno nie było. Pytam przechodnia, kto o to dba. - A wynajęliśmy firmę, co podlewa. - Zawsze? - upewniam się. - A jak? Przecież za to im płacimy. Zastanawiające, że zagadnięta pani, w wieku bardziej niż średnim, mówiła „my”, choć na pewno nie była radną czy urzędniczką magistratu. Poza tym kawiarenki ze stolikami na chodniku, pięknie utrzymany dom Roberta Kocha (muzeum), pełne i rozmaite sklepy. Towarzyszka mi pani doktor (a więc z „gorszej budżetówki”, nie żadna biznesmenowa) parę razy nie mogła powstrzymać się od okrzyku: „Jak to dobrze, że socjalizm już się skonczył!”

Skończył się, ale jego „wyspy” się zachowały. Przykładem, i to straszliwym, są Chobienice. Obraz nędzy i rozpacz, aż się płakać chce. Park podworski zdziczały, nie rozeznasz, że to kiedyś było piękne założenie, z rynien mieszkań pracowniczych bujnymi festonami zwisa trawa, tynki się sypią, po bramie zostały zawiasy i pół słupka, okazały pałac to ruina, której i duchy by się przestraszyły. A duchy mogłyby być znakomitego rodzaju: pałac należał do Raczyńskich, w nim dzieciństwo spędził Edward Raczyński, patriota, wielki sponsor kultury, fundator poznańskiej biblioteki Raczyńskich. Na frontonie pałacu napis: „Nie sobie, lecz następcom”. W słowie „następcom” brak liter - jak gdyby Raczyński, widząc, co z jego spuścizną zrobili pegeterowsy psuje, chciał cofnąć obietnicę...

Refleksja ogólna z tych wędrówek to pytanie z piosenki „Kabaretu Olgi Lipińskiej”: „Przeprze lepsze, czy nie przeprze?” W Wolsztynie przeperło, w Chobienicach - ani trochę. Mimo to myślę, że to jednak Chobienice są niechlubną wyspą niechlujstwa i że takim „wyspiarzom” jak jego mieszkańcy robi się w końcu wstyd własnego barbarzyństwa.

Janina Wiczerska



Irena Jarocka, słynna polska piosenkarka, gościła w Polsce przez kilka tygodni wraz z córką Moniką. Pochodzi ze Srebrnej Góry w woj. poznańskim. Wielbiciele kojarzą ją jednak z Trójmiastem. Przez wiele lat mieszkała w Oliwie, potem w Gdyni. Pierwsze artystyczne kroki stawiała w Gdańskim Studiu Piosenki przy Polskim Radiu. Uczyła się śpiewu u Haliny Mickiewiczówny. Przerwała naukę w średniej Szkole Muzycznej we Wrzeszczu i w 1968 r. wyjechała do Paryża na pięcioletnie pągar-towskie stypendium. Później, wraz z mężem mieszkała w Warszawie. Od sześciu lat na stałe przebywa w Stanach Zjednoczonych.

Należy do czołówki polskich piosenkarzy estradowych. Wielokrotnie występowała na festiwalach w Opolu i w Sopocie. Ma za sobą również debiut filmowy w serialu „Czterdziestolatek”, gdzie wyłansowała słynny przebój „Motylem jestem”. Wszyscy pamiętają aktualne do tej pory szlagiery: „Kawiarenki” i „Wymyśliłam cię”. Obecnie lansuje również nowe przeboje amerykańskie, w stylu country.

(ald)

Irena



C

hoć pochodzi z okolic Poznania, kojarzona jest z Trójmiastem. Najpierw mieszkała w przepięknie położonym domu przy ul. Słonecznej w Oliwie. Skończyła V Liceum Ogólnokształcące przy ul. Polanki. Później przeprowadziła się do Gdyni, na ul. Nowogrodzką.

- Wybrzeże zawsze było dla mnie prawdziwym, nie fikcyjnym oknem na świat - mówi piosenkarka. - Nawet ludzie byli tutaj bardziej otwarci i tolerancyjni wobec wszystkiego, co nowe.

Wspomina swój przyjazd z Paryża w 1973 r. Jak wszystkie ówczesne paryżanki, była ubrana w eleganckie sukienki z dużymi dekolami. Warszawiacy śmiali się i wytykali ją palcami na ulicy, tymczasem gdańszczanie nie zwracali na te „ekstrawagancje” uwagi. Trój-

miasto było osobnym światem w Polsce czasów komuny. Teraz wszystko się zmieniło, wróciło do normalności.

Szczerść i profesjonalizm

Z wykształcenia jest nauczycielką (ukończyła oliwską AWF), ale nigdy nie pracowała w szkole. W Ameryce wielokrotnie proponowano jej stanowisko nauczyciela śpiewu. Nie zamierza jednak kończyć piosenkarskiej przygody. Może kiedyś. Lubi być wolnym ptakiem, podróżować, dawać koncerty.

- Nigdy nie zabiegałam o to, żeby być gwiazdą. Zawsze jednak staram się być profesjonalistką. Było dla mnie szaloną niespodzianką, że publiczność od razu „kupiła” moje piosenki. Myślę, że zależy to od szczernej szczerości. Nie można zakładać maski estradowej. Widzowie natychmiast wyczują zły humor i każdą niedyspo-

zycję. Piosenkarz musi być całkowicie oddany publiczności. Zawsze śpiewam tak, jakbym to robiła pierwszy raz.

Przebój musi być dopracowany do końca. Ważny jest tekst, muzyka, aranżacja, światło, kostium i osobowość wykonawcy. Wszystkie elementy muszą współgrać i żaden nie może być słabszy. Cudowna jest radość, jaką piosenka daje drugiemu człowiekowi. Najbardziej spontanicznie na jej przeboje reaguje Polonia. Kojarzą im się z ojczyzną, ze wspomnieniami. Podczas ostatniego koncertu w Toronto słuchacze wzruszyli się do łez.

Paryska dusza

- Pięcioletni pobyt w Paryżu był dla mnie prawdziwą nauką życia. Oprócz systematycznej nauki, była też ciężka praca w klubach, którą zarabiałam na utrzymanie. Żyłam tylko muzyką i dla muzyki. Od tamtej pory zakochałam się w Paryżu.

Jarocka



Kocham brzmienie francuskiej mowy. Piosenka francuska oddaje moją duszę, śpiewam ją zupełnie inaczej, niż polską. Kiedy wykonuję piosenkę francuską odkrywam siebie. Ludzie nie rozumieją języka, a są do głębi poruszeni...

Piosenki znad Sekwany na stałe weszły do jej repertuaru. Przy akompaniamencie Włodzimierza Nahornego nagrała płytę z piosenkami francuskimi m.in. z filmów.

- Płyta nie dotarła jeszcze do Polski, a w Stanach, co najśmieszniejsze, była sprzedawana w sekcji „jazz”.

Sztuka wymaga poświęceń

Kiedy dołączyła do czołówek polskich wykonawców estradowych, zaczęła się mordercza praca, niestety, kosztem rodziny. Parę miesięcy po narodzinach córki Moniki musiała wyjechać na cztery miesiące do Stanów.

Popularność rodzi też sytuacje nieprzyjemne. Znalazł się nawet miłośnik, zakochany na śmierć. Kazał jej mężowi wyprowadzić się, a sam chciał zająć jego miejsce. Nękał telefonami i wizytami. Musiała wyjechać z Polski, gdyż bała się o bezpieczeństwo rodziny.

Amerykańskie pielesze

W tej chwili rodzina i dom są na pierwszym miejscu. Dostawstwo w małym miasteczku w stanie Nowy Jork, otoczone wspaniałym lasiem - jest miejscem schronienia i odpoczynku dla wszystkich domowników. Na koncerty jeździ raz w tygodniu i to jej w zupełności wystarczy. Dzisiaj ma dystans do sceny. Po zalewającej serce tęsknocie za krajem, przyszedł czas na ukojenie i spokój wewnętrzny.

- Wyjazd nauczył mnie pokory i innego traktowania życia. Znajduję czas na relaks, obowiązki domowe i pracę zawodową. Lubię gotować. Od niedawna jestem pełną wegetarianką i powoli przyzwyczajam rodzinę do takiego sposobu żywienia. Kuchnia jarska daje szalone możliwości. Można właściwie codziennie wymyślać nowe potrawy.

W małżeństwie uznaje układ partnerski, oparty na wzajemnej wyrozumiałości i pozwalający obojgu małżonkom w pełni rozwijać się.

- Udało mi się taki stan osiągnąć i jestem bardzo szczęśliwa. Trzeba czasem iść na kompromis. Kobieta w związku musi być dobrym dyplomata.

Przeciwko rakowi piersi

Z inicjatywy Ireny Jarockiej powstała w USA fundacja, której celem jest pomoc polskim kobietom, chorującym na raka piersi.

- Chciałabym wykorzystać tę odrobinę sławy, by pomóc ludziom.

Fundacja zajmuje się zbieraniem funduszy na medyczną

aparaturę, przeznaczoną na leczenie Polek - m.in. na mammografię. Jeżeli uda się wszystko zapisać na ostatni guzik, w Szpitalu Morskim w Gdyni powstanie Centrum Zdrowia Kobiety - wzorcową jednostką dla całej Polski.

Istnieje też możliwość otrzymania grantu od dotowanej przez rząd amerykański fundacji, pomagającej krajom postkomunistycznym.

Aldona Kaszubska

Zdjęcia: Robert Kwiatek



Z córką Moniką.

Pornografią jest wszystko to co chcemy uznać za pornografię

Rozróżnić pojedyncze włosy...

Chwyty dozwolone

Zofia S. z Sanoka, bawiąca nad morzem, nadesłała wycinki z „Wieczoru Intymnego” z własnym komentarzem. „Wieczór” radzi paniom pobudzanie ośpalych partnerów głaskaniem między odbytem a moszną, tudzież zaleca całowanie męskich pośladków. Co kto lubi... Cóż to jest, jeśli nie pornografia?” - pyta rozsierdzona Czytelniczka.

Nie podzielam opinii. Pochodzę z zamierchłej epoki i wolalbym określenie w stylu „między ustami a brzegiem pucharu”, a’la Rodziewiczówna, zamiast „między odbytem a moszną”, ale użyto przecie terminologii naukowej, a nie ludowych nazw organów wydalania i rodnych. Również zalecane działania, jak głaskanie i całowanie, mogą służyć w albowiem małżeńskiej skuteczniejszej prokreacji - a nie pozamałżeńskim figlom. Mam też argument ad personam: mam zaszczyt znać redaktor „Wieczoru Intymnego” i ręczę, iż jest to osoba godna, wzór polskiej matrony, a nie zbereźnica.

Pelżam po cienkim lodzie, na którym granica między zdrowym erotyzmem a trędowatą pornografią bywa zazwyczaj zamazana. Różnie z tym w różnych czasach bywało. Wąs mi się już sypał, gdy obniżono mi stopień za rozpowszechnianie w klasie I A, pani Zofio, takiej pioseneczki: „Gdy deszczyk rosi! Idę do Zosi / Siadam przy łóżku! Głaskam po brzuszku...” Był ciąg dalszy, ale też na bukoliczną nutkę i bez dosłowności. A w 1952, gdy brałem dobrowolno-przymusowy udział w studenckich brygadach, w epoce purytańskiego stalinizmu, kolega rozstał się z uczelnią jeno za poklepanie koleżanki-zetempówki po wypiętym w żniwnym trudzie tyłeczku. Gdy więc powiało z Białegostoku moralną odnową i trójki „Radia Maryja” skłaniają kioskarkę do zaniechania sprzedaży świeżych stróżów prawa wpiętych w zasłony opinii seksuologów. A tam ilu mędrków, tyle ocen.

Lew Starowicz za porno np. uważa zaniechanie wszelkich kontekstów i koncentrację na „eksponowaniu aktywności seksualnej i sfery genitalnej w celu sprowokowania u odbiorcy podniecenia seksualnego”. Z kolei prof. Marian Filar z UMK w Toruniu w swej monografii ubolewa, że nie ma w Polsce wykładni ustawowej art. 173 kk (o rozpowszechnianiu pornografii - J.Ch.), ani orzecznictwa Sądu Najwyższego na ten temat. Jakież to pole do działania dla stanowiących prawa posłów i senatorów! Łódzki seksuolog Andrzej Barczewski ironicznie zauważa, iż zachęcenie anonasami w gazetach wykreślamy wielocyfrowe numery, by - via Singapur - pogadać z prostytutką z sąsiedniej ulicy, a równocześnie organa ścigania wylawiają pojedyncze osoby lub wydawnictwa.

W „Życiu Warszawy” z 4 listopada 1995 Błażej Torasiński pisze, że Sąd Najwyższy w Australii w 1968 roku orzekł, iż „wizerunek nagiej kobiety jest pornograficzny, jeśli można na jej łonie rozróżnić pojedyncze włosy”, zaś reguła „common law” w Anglii do niedawna uznawała za pornograficzne to, co „powoduje podniecenie płciowe u co najmniej 7 spośród 15 normalnych mężczyzn”. Cytowany powyżej Barczewski konkluduje, iż „pornografią jest wszystko to, co chcemy uznać za pornografię” - i na tym skończył dyskurs na śliski temat.

Jan Chrzan

W Polsce po 1990 roku jednym żyje się wyraźnie lepiej, innym wyraźnie gorzej. A czy komuś żyje się jeszcze tak samo jak w PRL?

Między samochodem a zasiłkiem

Rejsy po gospodarce

Jak to z nami jest? Ostatnie doniesienia z europejskiego rynku samochodowego wskazują, że polski rynek należy do najbardziej dynamicznych. Sprzedaż samochodów (nowych i używanych) rośnie zaskakująco szybko. Widzą to zagraniczni inwestorzy, powstają coraz to nowe montownie, Fiat wyszedł na pierwszą pozycję pod względem zainwestowanego kapitału, a Daewoo zaczyna mu niebawem gonić po piętach.

Jeszcze ciekawiej wygląda struktura popytu na samochody. Choć wciąż najwięcej sprzedaje się samochodów małych, to zainteresowanie klientów wyraźnie przesunęło się w kierunku większych i lepszych. Kto dziś pamięta czasy, gdy nowy pojazd (dla szczęśliwych posiadaczy talonów lub asygnat) kosztował mniej niż używany? Rynek jest dziś prawie normalny. Prawie, bo absurdalnie wysokie cła i podatki wciąż nieco go wypaczają. Bez nich kolejne podwyżki cen maluchów i Cinquecento nie byłyby możliwe.

Rynek samochodowy jest dobrym zwierciadłem koniunktury gospodarczej. Być może auto już dawno przestało być luksusem. Także u nas staje się narzędziem pracy, a ponadto normalnym (choć droгим) dobrem konsumpcyjnym.

Skoro w Polsce produkt narodowy rośnie w bardzo przyzwoitym tempie, produkcja przemysłowa - także, słabnie inflacja i nieco spada bezrobocie, to właściwie dziwne byłoby, gdyby na rynku samochodów nie było hossy. Choć jej rozmiary są zaskakujące nawet w świetle makroekonomicznych wskaźników.

Samochody to jednak tylko jedna strona medalu. Z drugiej strony widać gołym okiem, że znacznej części ludzi żyje się bardzo ciężko. Obszary ubóstwa wzrastają, wiele rodzin z trudem wiąże koniec z końcem. Ich marzenia nie sięgają samochodu - często paru milionów miesięcznie, żeby starczyło na skromne jedzenie. Dla nich recesja trwa, a nawet się pogłębia.

Nie może więc dziwić, że jedni twierdzą, iż wszystko idzie w dobrym kierunku, inni zaś - że ku przepaści. Zróżnicowana jest opinia publiczna i oceny politycznych partii. Dla Olszewskiego i s-ki ostatnie 6 lat wyniszczyło nas gorzej niż komunizm. Dostrzegają ubóstwo i malwersantów, którzy kupują samochody. Inni są bardzo wyważeni w ocenach, miotając się często między obrazem samochodów i widokiem kolejki po zasiłki. I tak to już pewnie będzie.

Bo przecież jaki sens ma dziś powiedzenie, że społeczeństwu polskiemu żyje się dziś znacznie lepiej/gorzej (niepotrzebne skreślić), niż w PRL. Żyje się nam, po prostu, inaczej. Jednym zdecydowanie lepiej, innym zdecydowanie gorzej. A swoją drogą ciekawe, czy komuś w kraju żyje się tak samo? Jakoś nie słyszałem. To „inaczej” jest chyba najważniejszym efektem postkomunistycznych przemian. W 1990 roku skończyło się społeczeństwo, w którym ogromnej części obywateli żyło się bardzo podobnie. Dziś zróżnicowanie jest już bardzo daleko posunięte. Czy za daleko? Cóż, taka jest gospodarka rynkowa. Można efekty jej działań nieco korygować. Ale jak ktoś będzie próbował te samochody „rozdać” biednym, to efektem będzie wielka klapa. Taka, jaką już raz przerabialiśmy.

Piotr Dominiak



Krzysztof Gardas z żoną Ewą.

Co takiego jest w naturze ludzkiej, że jeden - choć młody i zdrowy - nie ma na życie żadnego pomysłu, inny zaś walczy i zmag się, aby za wszelką cenę znaleźć jego sens? A przecież czasem, jak w przypadku Krzysztofa Gardasia, aby zrobić krok do przodu, trzeba pracować przez wiele miesięcy. To, co osiągnął, dowodzi, że dla ludzkich działań nie ma żadnych ograniczeń. A jeżeli są - tkwią jedynie w naszym umyśle i psychice.

Szybkość i wiatr

Był pogodny majowy dzień 1991 roku. Krzysztof wracał od dziewczyny. Jechał z Tomkiem. Nagle na zakręcie poszybował w powietrze, spadł z nasypu. Uderzyli o betonowy słup. Krzysztof do dziś nie wie, czemu stracił panowanie nad Javą: czy zgubiła go brawura, czy to, że dobrze znał drogę i czuł się pewnie, czy może to, iż Tomek zbyt szybko złożył się do zakrętu? On przeżył, Tomek zmarł w szpitalu. Miał zły kask. Cienka gąbka nie amortyzowała siły uderzenia.

Skrawki pamięci

Tomek był jego najbliższym przyjacielem, mieszkał w sąsiedniej klatce. Mimo pięciu lat, jakie upłynęły od wypadku, Krzysztofowi niełatwo o tym mówić. Zdania rwą się, brakuje

słów. Przewiezieni po wypadku do żywieckiego szpitala, przez pół godziny leżeli obok siebie. Tomek ruszał się, w pewnej chwili usiadł. Krzysztof nie przypuszczał więc, że stan przyjaciela jest krytyczny.

Po tamtej stronie

Przetransportowano go helikopterem do Piekar Śląskich. Operacja trwała 10 godzin. Nie chciał wracać do życia, ale prosił Boga o życie dla Tomka. I Tomek przyszedł do niego, wśród kwiatów i oślepiającej jasności. Rzucił mu się na szyję. Krzysztof wiedział, że to pożegnanie. Kiedy po trzech dniach zobaczył niepewną minę taty, wiedział: Tomek nie żyje.

Wózek

W głowie miał pełno dawnych marzeń. Góry, przestrzeń, wysokość. To był jego żywioł, bez którego życie nie miało sensu. Dzień przed wypadkiem zakończył w klubie bielskim kurs skałkowy. Kiedy po czterech miesiącach wyjeżdżał z Piekar na wózek, wszystko legło w gruzach. Dotarło do niego, że nogi na zawsze pozostaną nieruchome.

Konfrontacja

Przed wyjazdem na rehabilitację pozwolono mu spędzić tydzień w domu. Szczęśliwy wylądował przed blokiem. Nie zastanawiał się, jak to będzie.

Nie dało się wjechać wózkem do klatki. Ojciec z sąsiadem wnieśli go do mieszkania. Trzeba było przestawiać meble. Siedział na wersalce, oglądał telewizor lub plakaty na ścianach.

Największy problem miał z wypróżnianiem. W szpitalu sprawę załatwiał cewnik i czopki przeczyszczające co cztery dni. Wyciskanie moczu pięścią nie zdawało egzaminu. Zbyt bolesne. Pozostawała prezerwatywa. Z kałem było jeszcze gorzej. Z czasem nauczył się wyczuwać go w jelicie i jak sobie radzić.

Ania

Z Anią chodzili przez cztery lata. Jej rodzice lubili go. Odwiedzała go w Piekarach. Czuli jednak, że bała się go dotknąć. Po powrocie do domu zauważył, że krępowało ją wyjście z nim na ulicę. Potrzebował czasu, aby dojrzeć do jej odejścia. Wiedział jednak, że najbardziej upokarzający byłby związek z litością i poczuciem obowiązku. Był świadkiem wielu ludzkich tragedii, wymeldowywania chorych z domu, oddawania ich przez współmałżonków do rodziców lub domów opieki. Sam zaproponował, aby się rozstali.

Repty

Każdy urazowiec po Piekarach łąduje w Reptach. Krzysztof też tam trafił. Jak wyglądała rehabilitacja? Jak zawrzeć w słowach ośmiomiesięczne

zmagania z własnym ciałem i duchem? Kilkaset dni, długie minuty i sekundy, wzloty i upadki, wmawianie sobie, że musi się udać. Beznadzieja, ogarniająca przy byle okazji. Po co i za co to wszystko? I jeszcze pokusa, aby kupić pół litra i, podobnie jak niektórzy, zapomnieć o tym wszystkim. Choć na chwilę. A potem złość na siebie, że zmarnował tyle czasu i sił. Przerażenie, że nie potrafi się z tego podźwignąć, że zostanie na wózku. Płakał w samotności, nie chciał świadców.

Nauka chodzenia

Zdjęcia kręgosłupa wyglądały paskudnie. Lekarka obawiała się, że Krzysztof, przy próbie postawienia na nogi, rozleci się. Jednak po trzech miesiącach ćwiczeń i masażu rozpoczęła się nauka chodzenia. Ręce, na których w tej fazie wszystko się opierało, już się wzmocniły. Wsadzono go w balkonik. Na nogi założono łuski. To takie plastikowe korytka od kostki po udo, z rzepami na kolana, aby się nie ugiwały. Pewnego dnia poczuł, że zaczęły działać mięśnie w pośladkach, pozwalające trzymać miednicę, z którą są największe kłopoty, bo ucieka na boki lub wygina się w przód, przez co pacjent przy najmniejszym ruchu „składa się” do tyłu.

Następnym etapem było chodzenie przy poręczach wzdłuż sześciometrowego korytarza z uchwytyami do rąk. Kiedy już zasmakował w postawie pionowej, jeździł tam sam. Nieraz łą-

górze

W lipcu Krzysztof Gardaś
wraz z trójką przyjaciół
stanął na szczycie

Mont Blanc.

Nie byłoby w tym nic
nadzwyczajnego,
gdyby nie fakt,

że Krzysztof ma niedowład nóg
i z trudem porusza się
o kulach.

Razem

Wspólna prasa zbliżyła go z Ewą. Zamieszkali razem, choć nie obyło się bez przeciwności i plotek. Dziś są małżeństwem. Ewa spodziewa się dziecka. Dlatego nie była z nim w tym roku na Mont Blanc i nie weźmie udziału w planowanej na początek przyszłego roku wyprawie na najwyższy szczyt obu Ameryk, Aconcaguę.

Przesłanie

- Po takich przejściach człowiek jest, jak krajobraz po wielkim pożarze - mówi Krzysztof. - Pozostaje tylko popiół. Ale przecież popiół jest żyzny. I tylko od nas zależy, co na nim wyrośnie.

Maria Ziemianin

a w Alpach czterotysięcznik Dôme du Gouter. Jednak planów nie zrealizował i czuł smak porażki.

Drugie podejście

Tym razem przygotowywał się kondycyjnie bardzo solidnie. Dwa razy w tygodniu wychodził na Pilsko. Wyjeżdżał w Alpy bogatszy o doświadczenie, a jednak z dużym obciążeniem psychicznym. Wiedział, że jeżeli drugie podejście się nie uda, rzuci góry. Znowu na Vallot zastała ich burza. Dwie doby czekali wśród grzmotów, pomagając Francuzom, porażonym piorunem, i ratując Finów. Kiedy wypogodziło się, zaczęli podejście. Po drodze spotkali schodzącego z góry, dziwnie zachowującego się Niemca. Nie udało im się go zatrzymać. Potem dowiedzieli się, że jego trzech koledzy zamarli w śnieżnej jamie, którą wykopal, aby przeczekać nawałnicę. Nie były to jedyne ofiary. W ciągu tych dwóch dni na Mont Blanc zgi-

Andrzej Biegun i Maciek Biela już wcześniej proponowali mu Alpy. Ale dopiero stojąc na Rysach, pomyślał, że to możliwe. Kiedy znajomi mówili, że Mont Blanc jest zdradliwy, że to 4807 metrów i kapryśna pogoda, odpowiadał, że Kukuczka też robił rzeczy trudne. Czemu właśnie jego przywoływał? Bo jeżeli stawiać sobie zadania - to niełatwe, a jeśli wzorce - to sprawdzone. Ubiegłoroczne podejście na Mont Blanc nie powiodło się. Szwankowała kondycja, a nie mieli pieniędzy na odpoczynek w schronisku. Doszli do Vallot, na wysokość 4362 m. Jest tam rodzaj schronu, w którym przeczekać musieli burzę. Brakło jedzenia. Był wyczerpany wysokością. Chłopcy zeszli do Chamonix po prowiant. Czekając na nich, zdecydował, że trzeba schodzić. Po drodze spotkali się i posprzeczała, jednak obrócili wszystko w żart. Wyprawa nie poszła na marne. Zdobyli szczyt Punta Penia we Włoszech w masywie Marmolady,

Dar przyjaźni

Najbardziej dokuczała mu samotność. Dawni koledzy wpadali rzadko. Niezawodni okazali się ci, których poznał na kursie skałkowym. Odszukał go i odwiedzali w Piekarach. Przywieźli zdjęcia ze wspólnej wspinaczki. Potem przyjeżdżali do Rept i do domu. Opowiadali o wyprawach, dostarczali gazety o górach („Optymista”) i artykuły o wyczynach niepełnosprawnych. To chyba oni zasiali myśl, że nie wszystko jeszcze stracone.

Łuczniczka

Któregoś dnia wyczytał, że Klub Łuczniczy Żywiec organizuje zajęcia dla niepełnosprawnych. Spodziewał się, że to będzie przekręt, polegający na wyciąganiu pieniędzy na rehabilitację, ale poszedł. Tam poznał Ewę, mistrzynię Polski w łucznictwie. Spotykali się rano w siłowni. Opowiadał jej o górach i wspinaczce, pokazywał zdjęcia. Była świadkiem jego zmagani, uporu i determinacji, kiedy przygotowywał się do zdobycia jaskini. Zaraził ją swą pasją. Ewa zapisała się na kurs skałkowy, potem na tatrzański. Wraz z nią przeżywał trudy wspinaczki. Siedział na wózku i obserwował przez lornetkę. To Ewa wyciągnęła go na górkę za blokami. Potem wybrali się razem w Beskidy. Szło opornie. Brakowało kondycji. Na Babiej nie dał sobie rady za pierwszym podejściem, choć Ewa niosła plecak. Ale nie rezygnował. Nie lubi przegrywać. Wrócił za miesiąc i stanął na szczycie. Zrozumiał, że musi mieć dobry sprzęt, aby w razie potrzeby mógł biwakować w górach. I zapas żywności na szybkie zregenerowanie sił. Zorientował się też, że na każde podłóżę potrzebne są inne końcówki do kul.

Rysy

Po Babiej mogły już być tylko Tatry. Kiedy wędrowali z Pięciu Stawów przez Świątówkę do Morskiego Oka, z obawą patrzył na Rysy. Bał się łańcuchów. Na kasetach widział co prawda, jak wspinają się niepełnosprawni na Zachodzie, ale paraliżował go strach. Nie przed śmiercią. Przed wypadkiem i przeżywaniem wszystkiego jeszcze raz. Przemógł się, kiedy zawędrowali na sylwestra do Doliny Pięciu Stawów. Wtedy zdał pięciogodzinny egzamin poruszania się po śniegu. Uwierzył, że z Ewą zdobędzie Rysy. I zdobył.

4807 metrów



Podczas wspinaczki na Mont Blanc.

Na
zakończenie
powiedzieliśmy
: - Nie
robiliśmy tego
programu dla
polityków,
robiliśmy to
dla Państwa.



Dziennikarze i współpracownicy „Pulsu Dnia” 29 sierpnia 1996 roku w studiu po emisji ostatniego programu.

Fot. Rafał Kasprów

Historia osobista „Pulsu Dnia”

Zmiotła nas polityka

„Puls Dnia” istniał w TVP od marca 1994 do sierpnia 1996 roku. Łącznie wyemitowano 464 wydania tego programu. Rozmowy w studiu prowadzili: Jacek Łęski, Piotr Semka, Bogdan Rymanowski, Marcin Wrona, Adam Pawłowicz i Jacek Pedrycz.

Wydawcami programu byli: Piotr Semka, Jacek Łęski, Maciej Gawlikowski, Marek Ponikowski, Kuba Sufin i Piotr Bazylko. W redakcji pracowało ok. 20 dziennikarzy.

Jedno wydanie „Pulsu” kosztowało 130 milionów starych złotych. Dysponowano jednym samochodem służbowym, telefonem komórkowym i jedną ekipą filmową dziennie. Redakcja mieściła się w trzech pokojach w budynku telewizji przy placu Powstańców Warszawy. W tym samym gmachu mieszczą się redakcje „Wiadomości”, „Panoramy” i „Teleexpressu”. Rozmowy „Pulsu Dnia” prowadzono w tym samym studiu, z którego nadawana jest telewizyjna „Panorama”.

- Będziecie, jak saperzy na polu minowym. Jeden nieostrożny ruch i wyleciecie w powietrze. A ja być może razem z wami - mówił do nas prezes telewizji, Wiesław Walendziak, gdy zimą 1994 roku rozpoczęliśmy przygotowania do nowego programu. Było to kilka miesięcy po zwycięskich dla koalicji wyborach parlamentarnych i nikt z zespołu nie traktował słów prezesa w kategoriach żartu.

Pochodziliśmy z różnych redakcji. Jacek Łęski, Piotr Wysocki i ja przyszliśmy do telewizji z „Życia Warszawy”. Piotr Semka współtworzył wcześniej telewizyjny „Refleks” i napisał książkę „Lewy czerwcowy”. Czarek Jęksa doszedł do nas z „Wiadomości”, a Maciek Gawlikowski pracował wcześniej w „Panoramie” i w krakowskim ośrodku TVP.

Wszyscy jednak byliśmy w tym samym wieku (około 30 lat), podobnie patrzyliśmy na sytuację w Polsce i wreszcie, co najważniejsze - mieliśmy to samo marzenie - zrobić najlepszy program w Telewizji Polskiej, prowadzony na żywo, młody duchem, bezkompromisowy, zadziorny, nie idący z politykami na żadne układy.

Każdy z nas zakładał, że program może utrzymać się w telewizji w najlepszym przypadku do jesieni 1994 roku.

Nie będziecie lubiani

- Nikt was nie będzie lubił, bo zabieracie pracę starym telewizyjnym wygom - mówił Walendziak. - Ale macie moje pełne poparcie. Jak trzeba będzie, to będę z wami montował materiały filmowe.

Oczywiście, do wspólnego montowania programów nie doszło, ale często z ironią wspominaliśmy słowa prezesa zwłaszcza gdy piętrzyły się przed nami trudności związane z organizacją programu. Na pierwsze zdjęcia jeździliśmy własnymi starymi „maluchami”, choć w telewizji zawsze na zdjęcia dziennikarz jeździ służbowym samochodem. Przez pierwsze dwa miesiące pracowaliśmy w jednym pokoju z wiecznIE zabloowanym telefonem.

Mimo tych trudności, w połowie marca 1994 roku „Puls

Dnia” zaczął się ukazywać. Nagle okazało się, że młodzi dziennikarze o niewielkim doświadczeniu telewizyjnym są w stanie robić program, który na początku może nie był lepszy od innych, ale po prostu był inny.

Gdy w kopalni „Andaluzja”, w Piekarach Śląskich, wybuchł strajk, następnego dnia pokazaliśmy reportaż z wypowiedziami górników, godujących 700 metrów pod ziemią. Gdy Marek Markiewicz i Ilowiecki zostali odwołani przez Lecha Wałęsę z Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, to wieczorem spotkali się w „Pulsie” z prezydenckim prawnikiem Lechem Falandyszem. Gdy Monika Kern, córka b. wice-marszałka Sejmu, wróciła po rocznej nieobecności do domu, to tego samego wieczoru mogliśmy ją obejrzeć w „Pulsie” wraz z rodzicami.

Widzowie to kupili. Zamiast „gadających głów” w „Gorącej linii” - poprzedniku „Pulsu Dnia” - mieli program reagujący natychmiast na najważniejsze wydarzenia z ciekawym materiałem filmowym.

Jeszcze pożałujecie

Często w „Pulsie Dnia” dochodziło do spórów, szczególnie, gdy występowali politycy SLD i Kancelarii Prezydenta. Od początku też największą wrogość wyczuwaliśmy właśnie ze strony postkomunistów.

Gdy w sierpniu 1994 roku przygotowaliśmy program na temat uniewinnienia generałów SB, Ciastonia i Płatka, oskarżonych o podżeganie do zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki, w SLD zawrzało. Do programu zaprosiliśmy prokuratora Andrzeja Witkowskiego, oskarżyciela posiłkowego, mec. Edwarda Wende oraz dziennikarza „Prawa i Życia”.

- To skandal, że nie zaprosiliście żadnego z obrońców - krzyczał na jednego z naszych dziennikarzy Marek Borowski

z SLD podczas prywatnego przyjęcia.

- Żaden z nich nie chciał przyjść - odpowiedział dziennikarz.

- To trzeba było zaprosić polityka, który by go bronił - krzyczał dalej Borowski.

- Aaa, gdybym wiedział, że pan poseł chce Ciastonia i Płatka bronić, na pewno bym pana zaprosił - zripostował dziennikarz i na tym zakończyła się rozmowa.

Szybko też okazało się, że ostre traktowanie polityków również nie specjalnie odpowiada politykom PSL. Premier Waldemar Pawlak po programie z 3 stycznia 1995 roku wycedził tylko przez zęby do prowadzącego program Marcina Wrony: „Pan jeszcze pożałuje takiego dziennikarstwa”.

Wcześniej, premier przez 20 minut męczył się, odpowiadając na pytania o aferę spółki InterArms, ściganego przez prokuraturę Krzysztofa Baszniaka, wiceministra pracy z PSL i kryzys rządowy. Miesiąc później Waldemar Pawlak przestał być premierem, ale jego rzeczniczka prasowa, Ewa Wachowicz, zdążyła jeszcze wymóc

na zarządzie TVP zawieszenie Marcina Wróblewskiego w prowadzeniu programu.

Z nowym premierem, Józefem Oleksym, też nie mieliśmy lekko. 22 marca 1995 roku, w dniu ogłoszenia jego nominacji, chcieliśmy wyemitować materiał filmowy, pokazujący drogę Józefa Oleksego do urzędu premiera. Znaleźć się w nim miały również jego wypowiedzi jako I sekretarza KW PZPR w Białej Podlaskiej.

Jeszcze nie skończyliśmy montować materiału filmowego, a już zadzwonił do nas Gwidon Syczewski, sekretarz Oleksego, z dobrą radą: „Nie emitujcie materiałów z lat 80. Bo pożałujecie”. Grzecznie odesłaliśmy go do naszego zwierzchnika, a felieton wyemitowaliśmy. Pokazaliśmy m.in. wypowiedzi Józefa Oleksego o wychowaniu młodzieży w duchu marksistowskim. Kilka dni później Aleksandra Jakubowska nazwała nasze dziennikarstwo „najlepszym stylem dziennikarstwa stanu wojennego”. Pozostawiliśmy to bez komentarza.

Dla kogo pracujecie?

Zbliżały się wybory prezydenckie i zdecydowanie wzrosły naciski na telewizję publiczną. Nie tylko ze strony polityków rządzącej koalicji, ale też opozycji. Były szef Najwyższej Izby Kontroli, Lech Kaczyński, zdenerwowany po programie z jego udziałem stwierdził: „Albo jesteście głupi, albo dla kogoś pracujecie”...

Jan Maria Rokita z Unii Wolności „radził” nam, byśmy utworzyli się na „jak to określił, „inne środowisko”, mając w domyśle dziennikarzy „Gazety Wyborczej”. „Puls”, niezależny, niesterowny, kierowany przez Marka Budzisz, był coraz bardziej niewygodny dla polityków różnych maści.

Szczególnie gorąco wokół nas zrobiło się tuż przed samymi wyborami. Najpierw prowadzący program Jacek Łęski, wydawca Kuba Sufin oraz szef programu Marek Budzisz otrzymali nagany na wniosek Jerzego Gwiżdża, szefa sztabu wyborczego Lecha Wałęsy, za program, w którym pokazano niejasny system finansowania

kampanii wyborczej na przykładzie kampanii wyborczej Wałęsy z 1990 r., kiedy to część pieniędzy od sponsorów przekazywano z rąk do rąk, a nie wpłacano na konta.

Później o mało nie otrzymaliśmy nagany, gdy nie wpuściliśmy do studia Jerzego Dziewulskiego ze sztabu wyborczego Aleksandra Kwaśniewskiego do rozmowy z Jerzym Gwiżdżem na temat „Polisy” i „sprawy Jana Pastwy”. Po prostu Jerzy Dziewulski zjawił się zamiast zaproszonego przez nas Zbigniewa Siemiątkowskiego, rzecznika sztabu przyszłego prezydenta, który potwierdził nasze zaproszenie i następnie wysłał do nas posła Dziewulskiego.

Gwoździem do naszej trumny okazało się wyborcze zwycięstwo Aleksandra Kwaśniewskiego. Już w noc wyborczą Jacek Łęski usłyszał w sztabie wyborczym kandydata SLD docinki pod swoim adresem: „No, to koniec z wami. Po prostu wszystkich was się wypieprzy na pysk”.

Autorem tych słów bynajmniej nie był prominentny polityk SLD, tylko działacz tzw. katolików świeckich, Kazimierz Morawski, popierający Aleksandra Kwaśniewskiego.

Po wybuchu „sprawy Oleksego”, mający do tej pory wątpliwości, politycy SLD uznali, że tak daleko być nie może. Telewizję trzeba spacyfikować. Stało się to, czego spodziewaliśmy się już od dwóch lat.

Słowo Siemoniaka

W marcu 1996 roku dyrektorem I Programu przestał być Maciej Pawlicki. Jego miejsce zajął Tomasz Siemoniak. Na znak protestu do dymisji podał się szef telewizji, Wiesław Walendziak. Władzę w telewizji przejęła koalicja SLD-PSL-UW, która doprowadziła do odwołania dawnego zarządu i powołała nowy, z Ryszardem Miazkiem na czele.

Wydawało się nam, że koniec „Pulsu Dnia” jest kwestią dni, a najwyższej tygodni. Zwłaszcza, że dyrektor Siemoniak zapowiedział, że w „Pulsie Dnia” trzeba wiele zmienić, potrzeba nowych twarzy. Zawsze takie uwagi uważaliśmy za „przedbiegi” do zlikwidowania naszego zespołu.



Jacek Łęski (po lewej) i Marek Budzisz, szef „Pulsu Dnia”.

Fot. Rafał Kasprów

wania naszego zespołu. Tomasz Siemoniak poprosił jednak o spotkanie z zespołem, które było bardzo burzliwe i trwało prawie dwie godziny. Obie strony miały do siebie wiele uwag, ale publicznie dyrektor Siemoniak oświadczył, że wycofuje swoje wypowiedzi prasowe, nikogo z „Pulsu” nie wyrzuci i nigdy nie miał takiego zamiaru.

Słowa dotrzymał. Nikogo z „Pulsu” nie wyrzucono. Choć wielu polityków koalicji bardzo sobie tego życzyło. Minister edukacji, Jerzy Wiatr, po programie ze swoim udziałem krzyczał do Bogdana Rymonowskiego, że go zniszczy.

Z kolei minister spraw wewnętrznych, Zbigniew Siemiątkowski, bez słowa pożegnania wyjął z klapy mikrofon studyjny i wyszedł po programie, w którym pokazaliśmy historię człowieka z Ciechanowa, który podczas kampanii prezydenckiej brał udział w demonstracji przeciwko Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, a później dostał od Zbigniewa Siemiątkowskiego, ówczesnego szefa sztabu wyborczego kandydata SLD,

zdjęcie z tejże demonstracji z „pozdrowieniami”. Więcej minister nie przyjął już zaproszenia do „Pulsu”.

Dosyć mieli nas też pracownicy URM. Na przykład latem tego roku jeden z pracowników Centrum Prasowego Rządu zapytał się reporterki „Pulsu”:

- To który baran dziś prowadzi program? - dodając - Już niedługo.

W czerwcu okazało się, że od początku września „Puls Dnia” ma zastąpić nowy, dłuższy program.

Z „Pulsu” do Ech

Początkowo nikt z nami nie rozmawiał na temat tego programu. Z nieoficjalnych informacji dowiadaliśmy się, że władze telewizji nie chcą, by przygotowywał go zespół „Pulsu Dnia”, mimo że kilka miesięcy wcześniej, na życzenie dyrektora Tomasza Siemoniaka, złożyliśmy projekt zmian w naszym programie z wydłużeniem go do 25 minut i realizowaniem dwóch najważniejszych tematów dnia.

Po kilku tygodniach okazało się jednak, że w Redakcji Publicystyki Programu 1 trudno jest znaleźć drugą taką ekipę, jak nasza. Dlatego też Witold Beres, nowy szef publicystyki „Jedynki”, rozpoczął z nami długie negocjacje na temat nowego programu.

Jednym z pierwszych kompromisów, który musieliśmy zawrzeć, była zmiana nazwy. Nowy program nie mógł nazywać się „Puls Dnia”, chociaż był w prostej linii jego kontynuacją. Dlatego też wymyśliliśmy „Echa Dnia”, nazwę trochę „brzmiącą PRL-em”, ale równocześnie podobną do nazwy dawnego programu.

W połowie sierpnia Zarząd TVP zgodził się, byśmy wystartowali z początkiem września. Zamówiono scenografię, czołówkę, rozpoczęliśmy poszukiwania dodatkowych prowadzących (zostali nimi Jarosław Gugala i Andrzej Mietkowski) i dziennikarzy (jednym z wydawców miał być Adam Pieczyński, były szef „Wiadomości”). Rozpoczęliśmy próby.

Słowo zarządu

W czwartek 29 sierpnia okazało się, że wbrew wcześniejszym zapowiedziom, zarząd TVP nie zgadza się, by nasz zespół przygotowywał „Echa Dnia”. Głosami Aleksandra Walczaka i Tomasza Jeziorańskiego, związanych z SLD, oraz Ryszarda Miazka z PSL przygotowania do programu zostały wstrzymane, a Tomasz Siemoniak, dyrektor „Jedynki”, który nie chciał się podporządkować tej decyzji został zdymisjonowany.

W piątek 30 sierpnia ukazało się ostatnie wydanie „Pulsu Dnia”. Na zakończenie powiedzieliśmy: „Nie robiliśmy tego programu dla polityków. Robiliśmy to dla Państwa”. To wszystko prawda. Ale właśnie dlatego przestaliśmy przygotowywać „Puls Dnia”. Zmiotła nas polityka. Jednak w ogóle tego nie żałujemy.

Piotr Bazyłko

(Rocznik 1968. Wydawca „Pulsu Dnia” od początku jego istnienia do końca programu. Wcześniej dziennikarz „Życia Warszawy”)

Politycy o „Pulsie Dnia”

„Dziennik” poprosił o opinię na temat zlikwidowanego programu kilku polityków, którzy byli wcześniej zapraszani do studia „Pulsu”.

Aleksandra Jakubowska (rzecznik prasowy rządu):

„Puls Dnia” był programem nierównym. Raz oglądało się go bez wewnętrznej irytacji, wręcz z zainteresowaniem, a niekiedy budził niechęć. Prowadzący denerwowali widoczną stronniczością, opowiadaniem się za jedną ze stron. Wydaje mi się, że odpowiednio pokierowanie redakcją mogłoby to naprawić. Nie wyobrażam sobie jednak, aby powstała dziura w wyniku zdjęcia tego programu.

Krzysztof Piesiewicz (członek Rady Programowej TVP):

W samą ideę programu wpisana była wiarygodność. Zostawał zaproszony gość i w tym momencie włączano kamery. Nie było możliwości manipulacji, montażu, dokonywania jakichkolwiek zmian. Nie znaczy to, że był to program robiony profesjonalnie oraz że goście byli wiarygodni. Myślę, że zdjęcie „Pulsu” będzie miało większe znaczenie, niż sądzą zdejmujący.

Jerzy Gwiżdż (były szef sztabu wyborczego Lecha Wałęsy):

Jestem ogromnie zaskoczony zdjęciem programu. Nie pochodzę z Warszawy, znam dużo ludzi z prowincji, którym „Puls Dnia” był bardzo potrzebny. Uchodził on za program obiektywny, chociaż podczas kampanii prezydenckiej mieliśmy do niego trochę pretensji. Był robiony inaczej niż programy tworzone przez dziennikarzy z rutyną. Wydaje mi się, że nikomu nie czynił szkody, ale budził emocje.

Marek Borowski (poseł SLD, wicemarszałek Sejmu):

Program nie był prowadzony obiektywnie, aczkolwiek jeśli ktoś miał dostateczną odporność psychiczną i upór, to zdołał się przebić i powiedzieć to, co chciał. Redaktorzy prowadzący program byli wychyleni w prawo. Z własnego doświadczenia wiem, że nie ma ludzi niezastąpionych, więc zdjęcie programu nie jest wielką tragedią. Trzeba powiedzieć, że dziennikarze nie byli orłami, choć przeszli pewną ewolucję od pierwszego programu.

Bogdan Borusewicz (przewodniczący regionu gdańskiego UW, poseł):

„Puls Dnia” odbierałem bardzo pozytywnie. Był to program żywo reagujący na bieżące problemy. Nie kłaniał się decydom.

Jacek Kurski (rzecznik prasowy Ruchu Odbudowy Polski):

„Puls Dnia” był moim zdaniem największym osiągnięciem w publicystyce Telewizji Polskiej ostatnich lat. Udało się młodym ludziom zrobić dobrą codzienną audycję - pluralistyczną i lubianą przez widzów. Uważam, że program został zdjęty, gdyż pojawiali się w jego studiu ludzie z prawicy.

(RT)



Moment nagrania pożegnania redakcji „Pulsu” z telewizjami. Autor artykułu stoi na chodniku, drugi od lewej.

Fot. Rafał Kasprów

Znaczna część dochodów Skarbu Państwa rozdysponowywana jest poza budżetową ewidencją - pieniądze trafiają do spółek, agencji lub fundacji, związanych z partiami politycznymi.

Roszady bankowe

W przeciwieństwie do aury, w świecie finansów lato było wyjątkowo gorące tego roku. Niestrudzone harce podjazdowej wojny wysadziły z siodła kilkadziesiąt znanych postaci rodzimej finansjery. Czy to rządząca koalicja postanowiła wziąć szturmem to, co jeszcze zostało do wzięcia? Czy strach przed zapowiadaną reformą centrum administracyjnego wziął górę nad rozsądkiem? Fakt, że roszady te zakreśliły wieloma skórzanymi fotelami.

Przezorny nie zawsze ubezpieczony

Oficjalny komunikat był tak suchy, że niewtajemniczeni przełknęli go z trudem: „Mając na uwadze interesy klientów oraz dalszy rozwój firmy, rada nadzorcza PZU SA podjęła 9 sierpnia decyzję o zmianie na stanowisku prezesa. Powołano wybitnego specjalistę z zakresu ubezpieczeń oraz rynków kapitałowych, pana prof. dr hab. Jana Monkiewicza”...

Romana Fulneczka zdemowano z posady dwa razy. Pierwszy raz, po interwencji u premiera Cimoszewicza, Fulneczek wyjął z teczeki pismo proszące o wstrzymanie się z decyzją do... powrotu z urlopu. Interwencja PSL-owskich polityków - jak powszechnie wiadomo, Fulneczek związany był z tą formacją - o tydzień przedłużyła jego prezesurę. Drugi raz zdymisjonowano go 9 sierpnia. Urlop premiera kończył się następnego dnia.

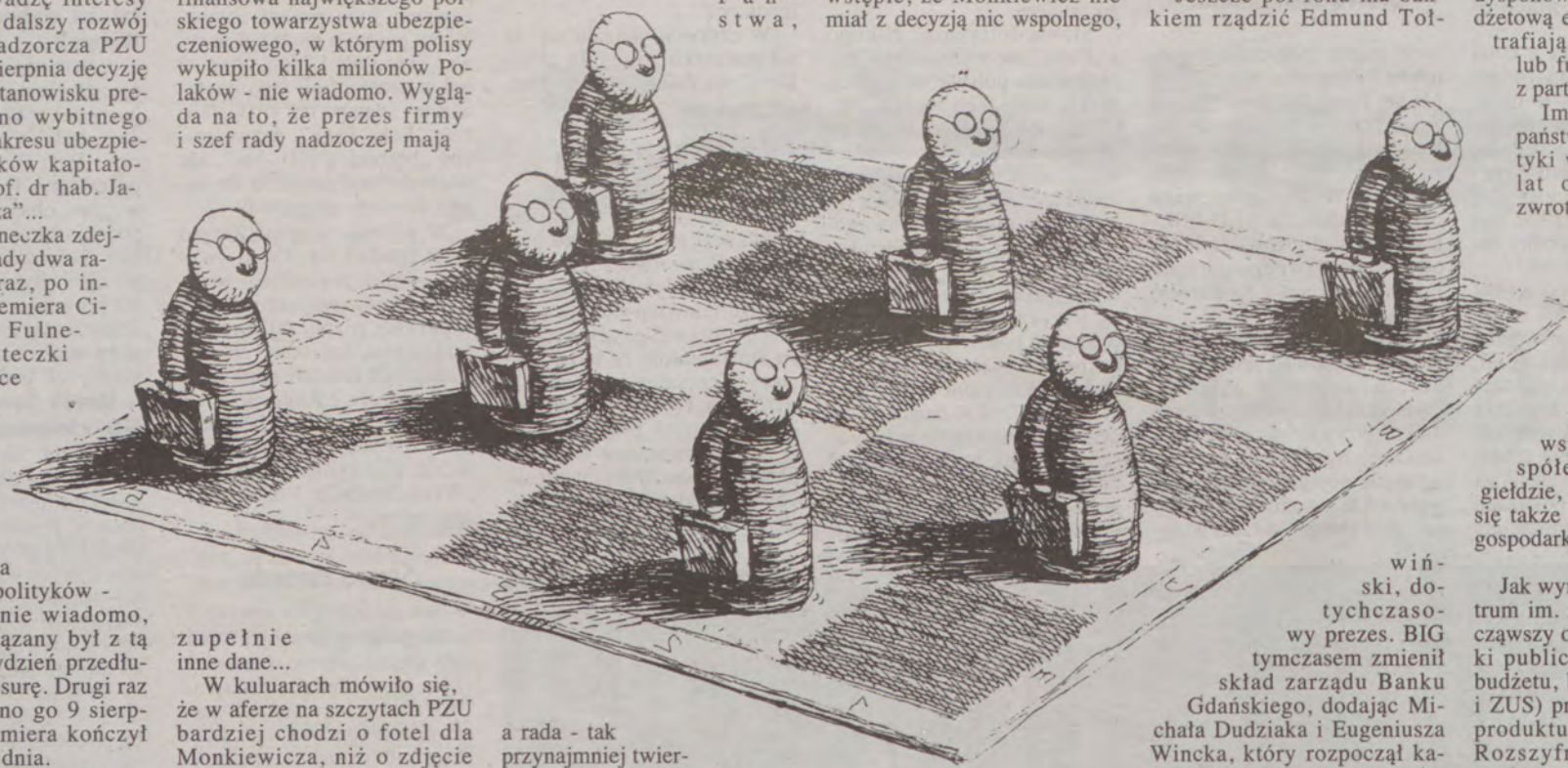
Na marginesie przepychanek personalnych można się było jeszcze dowiedzieć, że PZU potrzebna jest pilna prywatyzacja, gdyż spółka działa... z naruszeniem prawa ubezpieczeniowego, jest bowiem niedokapitalizowana. Pół roku temu miał być zakończony pierwszy etap prywatyzacji, ale nie zrobiono nic - mówił w Sejmie wice-minister finansów, Jan Bogutyn, do niedawna przewodniczący rady nadzorczej PZU.

- To nieprawda, że PZU nie osiąga wymaganego ustawowo kapitału gwarancyjnego. Uzyskany w pierwszym półroczu zysk w wysokości 500 mln zł sprawił, że po raz pierwszy od przekształcenia PZU w spółkę akcyjną, środki własne firmy przewyższyły wymagany kapitał gwarancyj-

ny - odpierali zarzuty Fulneczki oraz... Wojciech Misiąg, który w maju dołączył do grona odwołanych (pełnił funkcję przewodniczącego rady nadzorczej PZU SA).

Jaka zatem jest kondycja finansowa największego polskiego towarzystwa ubezpieczeniowego, w którym polisy wykupiło kilka milionów Polaków - nie wiadomo. Wygląda na to, że prezes firmy i szef rady nadzorczej mają

kiem zaiste zadziwiającym. Otóż okazało się, że rada banku podjęła decyzję wbrew stanowisku ministra finansów. Bank jest zaś jednoosobową spółką Skarbu Państwa,



zupelnie inne dane...

W kulisach mówiło się, że w aferze na szczytach PZU bardziej chodzi o fotel dla Monkiewicza, niż o zdjęcie Fulneczki. Monkiewicz, choć przez rok zasiadał w radzie PZU Życie SA, do wybitnych specjalistów ubezpieczeń nie był raczej zaliczany. Bardziej kojarzono go z projektem wielkiego łączenia dużych polskich banków, znajdujących się jeszcze pod egidą Skarbu Państwa, a w praktyce - z Urzędem Rady Ministrów, w którym Monkiewicz był ostatnio zatrudniony. A może chodziło o posady przed zapowiadaną reformą centrum administracyjnego?

Lekcja geografii politycznej

Zwolnienie z posady Barbary Bartkowiak, prezes Pomorskiego Banku Kredytowego SA w Szczecinie jest przypad-

a rada - tak przynajmniej twierdzili publicznie jej członkowie - uzyskała akceptację Jana Monkiewicza, podsekretarza stanu w URM rządzonego do tej pory przez Leszka Millera.

Istnienie dwóch ośrodków władzy w polskich finansach nie było dla zorientowanych tajemnicą, teraz zaś doszło do otwartego starcia. Żeby było śmieszniej, Grzegorz Kołodko jest jednocześnie ministrem odpowiedzialnym za gospodarkę i ministrem finansów; urzęduje więc w URM i MF jednocześnie. Gdy więc jeden urząd panią Bartkowiak odwoływał, drugi rozdzierał szaty...

Oficjalnie Bartkowiak podziękowano, gdyż „nie gwarantowała utrzymania i zachowania tożsamości banku”. Nieoficjalnie: bo stanowczo i co gorsza - publicznie, sprzeci-

wiała się pomysłowi połączenia Pomorskiego Banku Kredytowego, najpierw z Bankiem Handlowym, a później z Pekao SA.

Gdy rada PBKS powołała na miejsce Bartkowiak swego przewodniczącego, Włodzimierza Jermakowicza, pani prezes rozesała do niektórych redakcji komunikat o... nadmiernych kosztach utrzymania rady. Jermakowicz dowodził bowiem strategią banku z USA, gdzie pracuje na stałe. Ten z kolei, zastrzegając na wstępie, że Monkiewicz nie miał z decyzją nic wspólnego,

cjatyw Gospodarczych, współzакładanego swego czasu przez Komitet Centralny PZPR. BIG systematycznie zwiększa swój udział w BG, angażując już w pierwszym półroczu '96 w jego akcje 10 mln zł i planując do końca roku wydać na ten cel kolejne 14 mln zł. BG zaś pięknie się odwdzięcza, wypracowując grupie BIG przez pierwsze pół roku zysk 9,6 mln zł i planując wypłacić mu dywidendę rzędu 24 mln zł.

Jeszcze pół roku ma bankiem rządzić Edmund Toł-

Pełne półki

Roszady w Banku Gdańskim, PBKS, Banku Handlowym, w PZU SA - w instytucjach, z którymi na codzień ma do czynienia niemal każdy mieszkaniec Wybrzeża, to fragment większej całości.

Nie ma żadnej prawnej granicy nabywania przez państwo akcji lub udziałów spółek. Ministrowie tworzą holdingi, te zaś kupują akcje prywatnych spółek... Znaczna część dochodów Skarbu Państwa rozdysponowywana jest poza budżetową ewidencją. Pieniądze trafiają do spółek, agencji lub fundacji, związanych z partiami politycznymi.

Im więcej w biznesie państwa, tym wpływ polityki większy. W siedem lat od gospodarczego zwrotu, w rękach Skarbu Państwa, czyli - w praktyce - urzędników pozostaje wciąż 4 500 przedsiębiorstw, trzy czwarte banków. Państwo jest też współwłaścicielem 22 spółek notowanych na giełdzie, ale polityka wciska się także do prywatnej części gospodarki.

Jak wynika z wycieńcenia Centrum im. Adama Smitha, począwszy od roku 1994, wydatki publiczne (z centralnego budżetu, budżetów gminnych i ZUS) przekroczyły 50 proc. produktu krajowego brutto. Rozszyfrowując ten zapis, można powiedzieć, że państwowi urzędnicy wydają za nas co drugą złotówkę, którą zarobiliśmy.

Jan Kreft

Rys. Marek Wąziński

PS. Z prasy o swych dymisjach dowiedzieli się członkowie rady nadzorczej Banku Handlowego: Andrzej Olechowski, prof. Stanisław

Sottysiński i prof. Cezary Józefiak. W maju fotele prezesów stracili szefowie Budbanku: Marek Wąsowicz i Jerzy Gniewaszewski. Wcześniej odwołano Barbarę Zambrzycką z funkcji prezesa Powszechnego Banku Kredytowego w Łodzi (obecnie prezes Polbanku) i Danutę Chmielewską, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego.

orzekł, że dymisja była związana ze słabymi wynikami banku.

Ostatecznie, Jermakowicz złożył rezygnację, a PBKS jest polykany przez Pekao SA w rozpoczętym właśnie procesie łączenia banków, zgodnie z pomysłem... Monkiewicza.

Wydziedziczeni

Nie wiadomo oficjalnie, co i gdzie usłyszały zarząd i rada Banku Gdańskiego, ale jeszcze rok temu wydawało się, że pójda pospołu z koszyczkiem na giełdę i będą zbierały to, co w ogródku najlepsze. Stało się zupełnie inaczej.

Dziś ponad 31 proc. banku należy do grupy Banku Ini-

wiński, dotychczasowy prezes. BIG tymczasem zmienił skład zarządu Banku Gdańskiego, dodając Michała Dudziaka i Eugeniusza Wincka, który rozpoczął karierę zawodową od pracy jako wiceprzewodniczący, a następnie przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego Stowarzyszenia Studentów Polskich w Gdańsku.

Wcześniej, ze stanowiska przewodniczącego rady nadzorczej BG ustąpił Jan Szomburg, kierujący wraz z byłym min. Januszem Lewandowskim gdańskim Instytutem Badań nad Gospodarką Rynkową, były przewodniczący rady nadzorczej Polskiego Banku Rozwoju. Dziś w zmniejszonej radzie zasiadają wyłącznie przedstawiciele grupy BIG i Skarbu Państwa, a to oznacza, że na politykę największego banku Wybrzeża nie ma już wpływu nikt, kto pochodziłby z gdańskiego środowiska.

Albert Einstein:

„Życie na tym
świecie jest
okrutne nie przez
tych, którzy zło
czynią, ale z
powodu tych,
którzy na nie
przywzwalają”.



Bernard Boeton z organizacji humanitarnej Terre des Hommes demonstruje przykłady dziecięcej pornografii w prasie podczas obrad Światowego Kongresu Przeciwko Seksualnemu Wykorzystywaniu Dzieci, jaki odbył się przed paru dniami w Sztokholmie.

Fot. PAP-CAPIAP

Seksfabryki, pornografia, pedofilia

Dorośli dzieciom

Według naszych szacunków, tylko w Azji milion dzieci otrzyma dzisiaj wieczora seksualne oferty od dorosłych - mówił do zgromadzonych na zakończonym niedawno w Sztokholmie Światowym Kongresie Przeciwko Seksualnemu Wykorzystywaniu Dzieci, Ron O'Grady, jeden z jego inicjatorów i czołowa postać w organizacji ECPAT, zwalczającej dziecięcą prostytucję. - W tygodniu, w którym my będziemy obradować, dzieci w Azji przyjmą 10-12 mln seksklientów.

Od kilku lat coraz częściej doniesienia o tragicznym losie wykorzystywanych seksualnie dzieci docierają z krajów byłego bloku wschodniego oraz bogatych krajów Europy zachodniej.

Według danych UNICEF rynek usług seksualnych z udziałem dzieci przynosi jego udziałowcom miliardy dolarów dochodu. Prostytucja nieletnich kojarzona jest głównie z krajami azjatyckimi. Zachodni seksturysty - ponad 250 tys. osób z krajami azjatyckimi. Zachodni seksturysty - ponad 250 tys. osób z krajami azjatyckimi. Zachodni seksturysty - ponad 250 tys. osób z krajami azjatyckimi.

Indyjskie seksfabryki

W dniu rozpoczęcia sztokholmskiego kongresu, szwedzki dziennik „Dagens Nyheter” opisał losy jednej ze 150 tys. nepalskich dziewcząt, sprzedanych do indyjskiego domu publicznego. 13-letnia Manju Chowlagai mieszkała razem z bratem w niewielkim miasteczku w pobliżu Katmandu. Pewnego dnia kobieta z sąsiedztwa zaprosiła ją do kina. Nie podejrzewając niczego, dziewczynka wsiadła do samochodu. Nie dziwiła jej nawet długa podróż. - Dopiero, gdy dotarliśmy do Bombaju i zamknięto mnie w małym pokoju, zorientowałam się, że zostałam sprzedana - opowiada Manju po latach. - Płakałam przez kilka dni, a moi oprawcy bili mnie, przypalali ciało papierosami i zmuszali do współżycia z mężczyzną.

Przez rok Manju nie opuszczała pokoju. Otrzymywała jeden posilek dziennie. Każdego dnia musiała przyjąć 10 - 20 klientów. Ten koszmar trwał pięć lat. Rok temu okazało się, że Manju jest nosicielką wirusa HIV. Została odesłana z powrotem do Nepalu. Rodzina odrzuciła ją. Na szczęście, dziewczynką zajęła się Maiti Nepal - jedna z organizacji pomocowych w Katmandu. Manju nauczyła się czytać i pisać. Chce wrócić do rodzinnego miasteczka, by mówić innym dzieciom i ich opiekunom o tym, co przeżyła i jak ustrzec się przed podobnym losem.

Nie wszystkie dziewczynki są porywane. Często na ich wyjazd godzą się - nieświadomi konsekwencji swojej decyzji - rodzice. Do drzwi ubogiej rodziny puka nieznajomy, oferuje córkom pracę w fabryce, a ojcu wiska w ręce sześciokrotnie jego miesięcznych zarobków. Dziewczynki zamiast do fabryki, trafiają do burdeli. Według danych Maiti Nepal, w prowincji Sindhupalchok położonej na północ od Katmandu, 90 proc. dziewcząt zmuszanych jest do prostytucji. Są tam wioski, w których nie sposób spotkać nastolatkę. Zostały wywiezione - rzekomo do pracy w fabryce.

Nie tylko Azja

Od kilku lat coraz częściej doniesienia o tragicznym losie wykorzystywanych seksualnie dzieci docierają z krajów byłego bloku wschodniego oraz bogatych krajów Europy zachodniej.

Tylko w Moskwie jest około miliona nieletnich prostytutek. Dochody z ich działalności czerpie przede wszystkim rosyjska mafia. Prostytucja wśród dzieci zatacza coraz szersze kręgi również w Warszawie i Bukareszcie - według raportu Holenderskiego Stowarzyszenia Praw Dziecka, Polska i Rumunia stały się nowym obszarem działania pedofili z krajów Europy zachodniej - oraz w Pradze, Budapeszcie, Rydze, Tallinie i Wilnie. Eksperti tłumaczą to zjawisko faktem, iż w niektórych krajach byłego bloku wschodniego prawo dopuszcza kontakty seksualne z dziećmi, które ukończyły 14 rok życia.

Niedawne doniesienia z Belgii, gdzie aresztowano Marca Dutroux, karanego już wcześniej za gwałty na dziewczętach w wieku od 12 do 19 lat, w którego ogrodzie odnaleziono ciała dwóch ośmiolletnich dziewczynek, zaginionych ponad rok temu, przypomniły światowej opinii publicznej inne tragiczne wydarzenia ostatnich lat. Brytyjczycy porównywali belgijskie wydarzenia ze sprawą Frede-

ricka i Rosemary West, którzy przez wiele lat torturowali, wykorzystywali seksualnie i zabili w sumie 12 dziewcząt w wieku od 8 do 20 lat. Amerykanom z kolei przypomniła się tragiczna historia 7-letniej Megan Kanka, zgwałconej i zamordowanej dwa lata temu przez mężczyznę, który po wyjściu z więzienia, gdzie odsiadywał karę za podobną zbrodnię, zamieszkał w jej sąsiedztwie.

W sieci

Materiały pornograficzne z udziałem dzieci, a nawet pewnego rodzaju przewodniki dla pedofili, rozpowszechniane są również za pomocą Internetu. Odnalezienie ich nadawcy jest bardzo trudne, ale nie niemożliwe. Jak donosi „Time”, w kwietniu tego roku francuska policja przesłuchiwała 1500 osób, a wysunęła konkretne zarzuty wobec dwóch, w związku z wykryciem materiałów porno z udziałem nieletnich w jednej z sieci podłączonych do Internetu. Natomiast przed miesiącem w Anglii w związku z podobną sprawą aresztowano 15 osób.

Pornografia dziecięca ma ścisły związek z handlem nieletnimi i zmuszaniem ich do prostytucji. Mimo to w niektórych krajach jest ona tolerowana. Posiadanie takich wydawnictw i filmów jest legalne w Szwecji, Japonii i na Węgrzech. W Belgii za ich rozpowszechnianie grozi zaledwie rok pozbawienia wolności.

Kara bez litości

Uczestnicy sztokholmskiego kongresu stwierdzili zgodnie, że dorośli, wykorzystujący seksualnie dzieci, powinni podlegać surowym karom. Niektóre kraje już wprowadziły w życie prawo, zgodnie z którym karane mogą być te osoby, które dopuściły się przestępstwa na tle seksualnym przebywając poza granicami swojego kraju. W krajach azjatyckich natomiast ogłoszono pierwsze surowe wyroki dla seksturystów z Zachodu. W maju sąd filipiński skazał na 17 lat więzienia Australijczyka, który w 1993 roku wykorzystywał seksualnie 12-letnią dziewczynkę. W czerwcu identyczny wyrok zapadł w sprawie Brytyjczyka, który uprawiał seks z dwoma 8-letnimi filipińskimi chłopcami. W Tajlandii na 43 lata pozbawienia wolności skazano Niemca, złapanego w flagranti w łóżku z czterema chłopcami w wieku od 8 do 13 lat.

Dokończenie na str. 14

Dokończenie ze str. 13

Surowe kary nie rozwiążą jednak problemu. Dlatego też uczestnicy kongresu uchwaliли program działania do 2000 roku, na podstawie którego sygnatariusze deklaracji końcowej (w kongresie wzięli udział przedstawiciele 126 państw) będą mieli zadanie opracować i wprowadzić w życie, narodowe plany zwalczania tego zjawiska. Program przewiduje między innymi stworzenie narodowych i międzynarodowych baz danych, zawierających informacje o osobach podejrzanych o molestowanie seksualne dzieci, zamieszanych w handel nieletnimi i w produkcję obrazów pornograficznych z ich udziałem. Nielegalne ma być już samo posiadanie takich obrazów. Za szczególnie istotne uznano w programie prowadzenie powszechnej akcji wychowawczej i oświatowej - zarówno wśród dzieci, jaki i ich rodziców.

Polska jest wśród sygnatariuszy deklaracji końcowej sztokholmskiego kongresu.

Anna Fibak



Marc Dutroux, pedofil aresztowany niedawno w Belgii, w którego ogrodzie odnaleziono ciała dwóch ośmioletnich dziewczynek, zaginionych ponad rok temu.

Fot. PAP-CAFIAP

Portret pedofila

- Pedofili uważamy poważnie za potwory. Tymczasem, gdyby byli potworami, nie mielibyśmy do czynienia z większością zbrodni na tle seksualnym w stosunku do dzieci - uważa Ray Wyre, angielski ekspert do spraw przestępstw seksualnych i pedofilii. - Dzieci boją się bowiem potworów, zaufaniem natomiast darzą tych dorosłych, którzy troszczą się o nie, angażując się w ich problemy.

Pedofile wtapiają się poważnie w rodziny, drużyny sportowe czy harcerskie. Wybierają swoje ofiary bardzo precyzyjnie. Dbają o to, by zdobyć ich zaufanie, opierając wzajemne stosunki na zasadach równości.

- Widziałem wiele filmów, w których wykorzystywani chłopcy uśmiechają się i mrugają znacząco do kamery - mówi Ray Wyre. - To oznacza, że pedofil osiągnął swój cel. Dziecko jest ufnie, nie opiera się, nieświadome wchodzi

w rolę, jaką napisał dla niego oprawca. Związane emocjonalnie ze zbrodniarzem dziecko nie opowie nikomu o „wspólnym sekrecie”.

Pedofilia może mieć swoje przyczyny w przeżyciach z okresu dzieciństwa. Większość pedofili była maltretowana fizycznie. W dorosłość przenieśli wzorce z czasów, gdy byli dziećmi. Ci, którzy w dzieciństwie byli traktowani bardzo brutalnie, stanowią 1 proc. tych pedofili, którzy w stosunku do dzieci zachowują się agresywnie. Stan podniecenia osiągają, stosując przemoc w stosunku do ofiary. Większość jednak osiąga zadowolenie, fantazjując na temat dzieci lub oglądając pornograficzne obrazy.

Wśród pedofili bardzo rzadko spotyka się kobiety. Niektórzy naukowcy twierdzą, że biologia sprawia, iż kobieta nie jest skłonna postrzegać dziecka jako obiekt seksualny.

(A.F.)

Gratka

DZIENNIK BAŁTYCKI

SOBOTA, 14.09.

DODATEK BEZPŁATNYCH I PŁATNYCH ANONSÓW

CO ZROBIĆ

zeby Twoje ogłoszenie drobne ukazało się ZA DARMO?

1 Kup „DZIENNIK BAŁTYCKI”

2 Wytnij kupon

3 Wrzuć wypełniony kupon do skrzynki przy Biurze Ogłoszeń „DB” lub wyslij listem, kartką pocztową tak, aby trafił do czwartku, do godz. 12 do Biura Ogłoszeń, lub skrzynki „Gratki”

4 Ogłoszenie ukazuje się w „Gratce” - dodatku do „DB” za darmo

BIURA OGŁOSZEŃ
„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”
przy których znajdują się
skrzynki „Gratki”:
Gdańsk, Centralne Biuro Ogłoszeń:
80-886 Gdańsk,
Targ Drzewny 3/7,
Gdynia, ul. Władysława IV 17
Gdynia, ul. Świętojańska 141 b,
Sopot, ul. Kościuszki 61,
Pruszcz Gdański,
ul. Tysiąclecia 8,
Tczew, ul. 1 Maja 4,
Elbląg, ul. Łączności 3,
Starogard Gdański,
ul. Basztowa 3,
Wejherowo, ul. Sobieskiego 270

Do wiadomości biura ogłoszeń	Nie zapomnij!
imię i nazwisko	Wytnij kupon - 1 wrzucić do skrzynki „Gratki” przy Biurach Ogłoszeń lub 2 przesiłki pocztą pod adresem 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7 Centralne Biuro Ogłoszeń „Dziennika Bałtyckiego”.
adres	Tylko dla osób prywatnych
numer dowodu osobistego	W TĘCIE OGŁOSZEŃ DO PODRUBRYK ODNAJME SPRZEDAM NALEŻY PODAĆ CENĘ
telefon	- WSZYSTKIE CENY W NOWYCH ZŁOTYCH POLSKICH
	- OGŁOSZENIA W RUBRYKACH: ODDAM ZA DARMO I PROSZĘ O POMOC MOŻNA NADAĆ
	TYLKO OSOBIŚCIE W BIURACH OGŁOSZEŃ
	- W OGŁOSZENIU PODAJ: MIEJSCOWOŚĆ, ADRES, NUMER TELEFONU
	- BIURO OGŁOSZEŃ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZREDAKOWANIA I SKLASYFIKOWANIA
	OGŁOSZENIA LUB JEJEGO NIEZAMIESZCZENIA.

spis rubryk i podrubryk

1 AUTO-MOTO	7 NARZĘDZIA
1A sprzedam samochód osobowy	7A sprzedam
1B sprzedam samochód ciężarowy	7B kupię
1C sprzedam motocykl	8 MATERIAŁY BUDOWLANE
1D sprzedam przyczepę	8A sprzedam
1E sprzedam części zamienne	8B kupię
1F sprzedam inny pojazd	8C usługi
1G kupię samochód	9 TURYSTYKA I SPORT
1H kupię inny pojazd	9A sprzedam sprzęt
1I kupię części zamienne	9B kupię sprzęt
1J zamienię samochód	9C wypocznik
1K zamienię inny pojazd	9D przejażdż
1L skradziono	9E serwis
1M usługi motoryzacyjne	10 ZDROWIE
1N taxi	10A sprzedam
1O przewoźny	10B kupię
1P wypoczynki samochodów	10C usługi medyczne
Uwaga: w rubryce przyjęto następujące skróty:	11 ODZIEŻ
AA - autokam	11A sprzedam
AF - aluminiowe felgi	11B kupię
CZ - centralny zamek	12 NAUKA
EL - elektryczne lustro	12A oferuję
ES - elektryczne szyby	12B poszukuję
EW - elektryczny wyłaz	13 ZWIERZĘTA I ROŚLINY
H - hak	13A sprzedam zwierzęta
K - klimatyzacja	13B sprzedam rośliny
R - radiomagnetol	13C kupię zwierzęta
S - sygnalizator	13D kupię rośliny
2 PRACA	14 FOTO
2A poszukuję pracy	14A sprzedam
2B dam pracę	14B kupię
3 NIERUCHOMOŚCI - DOM	14C zamienię
3A sprzedam mieszkanie	14D usługi
3B sprzedam dom	15 MUZYKA
3C sprzedam domek letniskowy	15A sprzedam
3D sprzedam inny lokal	15B kupię
3E sprzedam działkę budowlaną	15C zamienię
3F sprzedam działkę ogrodniczą	15D usługi
3G sprzedam inną parcelę	16 HOBBY
3H kupię mieszkanie	16A sprzedam
3I kupię dom	16B kupię
3J kupię inny lokal	16C wymienię
3K kupię działkę budowlaną	17 RÓŻNE
3L kupię działkę ogrodniczą	17A sprzedam
3M kupię inną parcelę	17B kupię
3N zamienię mieszkanie	17C zgubiłem
3O zamienię działkę	17D biznes
3P poszukuję mieszkania	18 MATRYMONIALNE
3R poszukuję innego lokalu	19 ODDAM ZA DARMO
3S odnajmę mieszkanie	20 PROSZĘ O POMOC
3T odnajmę inny lokal	21 ŻYCZENIA
3U pośrednictwo	22 HYDE PARK
4 WYPOSAŻENIE MIESZKAŃ	
4A sprzedam	
4B kupię	
4C serwis	
5 RTV	
5A sprzedam	
5B kupię	
5C zamienię	
5D serwis	
6 KOMPUTERY	
6A sprzedam komputer	
6B sprzedam inny sprzęt komputerowy	
6C kupię sprzęt komputerowy	
6D zamienię sprzęt komputerowy	
6E serwis	

PEŁNE UBEZPIECZENIE W PZU ZA 2% WARTOŚCI + ZIELONA KARTA GRATIS.

Escort już od 34.700.- zł.

*1 DM-1.8 PLN.



BIG Autohandel

Autoryzowany Dealer

Salon Sprzedaży Samochodów, Gdańsk, ul. Rajska 12, tel. (058) 31 60 21

Gdańsk, ul. Czarny Dwór 12, tel.: (058) 53 36 43, fax (058) 530 521

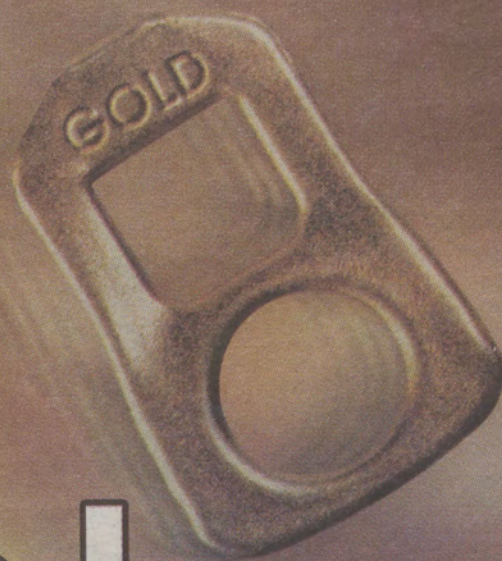
Hurtownia i sprzedaż detaliczna części zamiennych - dostawy bezpośrednio z fabryki

Samochody Używane, ul. Grunwaldzka 258 (róg Abrahama) tel. (058) 52 06 60

Otwarte
7 dni
w tygodniu

MOCNA *Promocja!*

PIWO BEZALKOHOLOWE DOSTĘPNE W BROWARZE



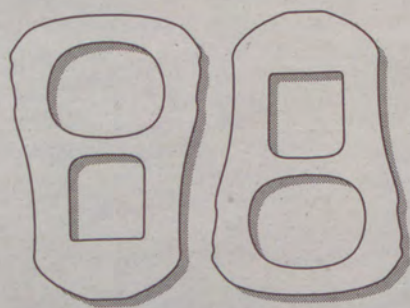
znajdź złoto!

i Wygraj

złoto - wycieczkę - nagrody !!!

imię
nazwisko
adres -

tu wklej zawlecзки używając taśmy samoprzylepnej



miejsce na znaczek poczt.

znajdź złoto!

P.O.K.

70-952 Szczecin 2
skr. poczt. 899

szczegółowe informacje w sklepach



We Wdzydzach Kiszewskich

- Szansę dla mieszkańców Wdzydz Kiszewskich - powiedział sekretarz gminy Kościerzyna, Włodzimierz Graf - widzę w agroturystyce. Ludzie w tej wsi są dość konserwatywni, ale sądzę, że z czasem zaczną na tym zarabiać.

Na razie ludzie nie nauczyli się przedsiębiorczości. Bezrobotni klusują na jeziorach. Jak ktoś mieszka nad jeziorem, to z dziada pradziada łowi. Ryba zawsze się sprzedaje. A złapać takiego rybaka nie jest łatwo. I jakoś się żyje.

- Biedy pani u nas w wiosce nie zobaczy - powiedział spotkany na ulicy młody mężczyzna

Renty i bezrobocie

W przydomowych ogródkach kwitną kwiaty, ale niektóre domy chyba nigdy nie były odnawiane, inne prawie się wali. Trzy nowe, nie mające nic wspólnego z tradycją lokalnego budownictwa, stoją przy drodze do lasu. Mieszka tu z rodziną sołtys Józef Brzeziński.

- Z czego ludzie teraz we Wdzydzach Kiszewskich żyją? - pytam.

- Większość - mówi gospodarz - chyba z rent. Część pracuje w ośrodkach czasowych. Młodzież nie bardzo się garnie do pracy. Na stu siedemdziesięciu mieszkańców mamy prawie trzydziestu bezrobotnych. Większość z nich to młodzi

mężczyźni. Trudnią się robotą dorywczą. Jest grupa alkoholków na utrzymaniu opieki społecznej. Miejscowi wykazują jeszcze zbyłą inicjatywę, żeby z turystyki mieć chleb. Ja i moje dwie siostry utrzymujemy się na zupełnie niezłym poziomie z wynajmowania pokoi i prowadzenia jadłodajni.

Gulgowscy

- kontynuacja legendy

Na najwyższym punkcie wzgórza, pod chojnami, znajduje się samotna mogiła z położonym u węgłowia wielkim, polnym kamieniem. Małymi kępami rosną tutaj turki i nasturcje. To miejsce, z którego roztacza się rozległy widok z jednej strony na jezioro, z drugiej - na rozwijający się wciąż skansen, wybrali Teodora i Izidor Gulgowscy na swój wieczny spoczynek. Jak mówią miejscowi, kamień pochodzi z wyspy Glonek na Jeziorze Wdzydze i wiąże się z ich romantycznym poznaniem.

Właśnie na tym głazie siedziała przed laty, malując pejzaż, Teodora Fethke. Przepływający łodzią Izidor nie mógł

oderwać wzroku od pięknej dziewczyny. Miłość zrodziła się od pierwszego wejrzenia. I choć brat Teodory, proboszcz wielewski, próbował się sprzeciwić związkowi panny z towarzystwa ze zwykłym wiejskim nauczycielem, do tego młodszym od niej o szesnaście lat, ślub odbył się niebawem. Zamieszkali we Wdzydzach Kiszewskich. Od tej pory artystka malarka i nauczyciel z zawodu, a z zamiłowania etnograf, literat i publicysta, rozpoczęli wspólne dzieło, które stało się celem i sensem całego ich życia.

- Właściwie - mówi dyrektor Kaszubskiego Parku Etnograficznego, Teresa Lasowa - nie robimy nic innego, tylko wciąż kontynuujemy wątki, które oni zainicjowali. Gdyby Gulgowscy żyli, mielibyśmy z nimi wspinały kontakt.

Początek

Wystawę, ilustrującą życie i dorobek Teodory i Izidora Gulgowskich, inauguruje akt notarialny z dnia 21 kwietnia 1906 roku, mówiący o zakupieniu przez nich od mieszkającego nie opodal Michała

Hinza zrębowej checzy z wystawkiem, czyli podcieniem, już wówczas liczącej 150 lat. Następnie zaczęli skupować stare przedmioty. Byli przewidujący: już wtedy uważali, że należy ratować ginącą kulturę materialną i duchową regionu. W checzy kaszubskiej urządzili muzeum, które stało się atrakcją przyciągającą zewsząd turystów do biednej wioski. Izidor pisał i publikował rozprawy, artykuły na temat kultury ludowej Kaszubów. Pozostała po nim słynna monografia wsi. Był to początek najstarszego w Polsce skansenu, dzisiejszego Kaszubskiego Parku Etnograficznego.

Chalupa ta, niestety, spaliła się w 1932 roku. Pani Teodora, już po śmierci męża, ogromnym wysiłkiem obiekt odbudowała, urządziła i udostępniła zwiedzającym. Tę checz, z autentycznymi meblami, piecem z kaflami, które, na jej zamówienie, wypalił Leon Necel, oglądamy do dziś. Naprzeciwko stoi druga chata przeniesiona z Wdzydz Tucholskich. Od tych dwóch domostw zaczynamy zwiedzanie wdzydzkiego skansenu. Na rozległym, częściowo zalesionym, dochodzącym do brzegu jeziora terenie, zobaczyć można obiekty architektury, przeniesione z różnych miejscowości na terenie Kaszub i Kociewia. Stopniowo stylowo urządzone, wyposażone w autentyczne przedmioty, mówią nam jak żyli, pracowali i spędzali wolny czas mieszkańcy tutejszych terenów.

Jak u Gulgowskich

W jednej z chat obejrzeć można, zorganizowaną dla uczczenia 90-lecia skansenu, ekspozycję poświęconą jego twórcom. Meble z epoki i stylowa aranżacja salonu sprawiają wrażenie, jakby przed chwilą byli tu państwo Gulgowscy. Sekretarzyk, a na nim otwarty album z rodzinnymi zdjęciami. Na ścianie wisi najbardziej znana, powielana w książkach i przewodnikach fotografia uwieczniająca panią Teodorę z jej uczennicami, ubranymi w białe schludne fartuszki i haftującymi serwetki nad stromym brzegiem jeziora. W drugim pomieszczeniu cudem ocalałych kilkanaście obrazów olejnych pani Teodory.

Dokumenty, choć zachowane fragmentarycznie, informują o tym, jak Teodora i Izidor organizowali warsztaty ludowego rzemiosła. A było to nie tylko artystyczne, ale i organizacyjne przedsięwzięcie.

Ona, czerpiąc motywy ze starych ornatów, czepców-złotogłowi i ówczesnych haftów, a także mebli i ceramiki kaszubskiej, projektowała wzory serwet, makat, fartuchów. Niektóre jej prace, wykonywane ołówkiem, lub akwarelą zachowały się do dziś. Sztuki haftu uczyła dziewczęta na kursach. Organizowała sprzedaż wyrobów, najpiękniejsze wysyłała

- Wymarła wdzydzka inteligencja.

Ci, którzy się u nas bogacą, myślą tylko, żeby jak najwięcej zarobić.

Oj, przydałaby się u nas teraz taka pani Gulgowska...



- Właściwie - mówi dyrektor Kaszubskiego Parku Etnograficznego, Teresa Lasowa - nie robimy nic innego, tylko wciąż kontynuujemy wątki, które oni zainicjowali. Gdyby Gulgowscy żyli, mielibyśmy z nimi wspinały kontakt.

Teodory i Izydora



- Na stu siedemdziesięciu mieszkańców mamy prawie trzydziestu bezrobotnych, większość z nich to młodzi mężczyźni - kwituje sytuację sołtys Józef Brzeziński.



- Wyszywać - mówi Władysława Wiśniewska - niektóre młode umieją, ale prawie nie uprawiają tego zajęcia, nie ma teraz na to zbytu.

na wystawę rękodzieł... w kraju i za granicą.

Glina i korzeń

W jednym z pomieszczeń wyeksponowane są ława oraz wyroby z gliny i korzeni sosny. Wykonane zostały przez miejscowych mężczyzn w warsztatach Gulgowskiego według jego projektów. Ubodzy, niewykształceni ludzie nauczyli się ciekawego, związanego z ich regionem zajęcia, które przynosiło im dodatkowy zarobek. To z inspiracji Gulgowskiego tworzyć zaczął kaszubska ceramikę Leon Necel, a przejął po nim warsztat, również już nieżyjący, Stanisław.

Gulgowscy stworzyli we Wdzydzach Kiszewskich ośrodek przemysłu i sztuki ludowej. To ich pomysły powielala w późniejszych latach Cepelia, rozprowadzająca w kraju i za granicą ludowe wyroby.

Izydor zmarł przedwcześnie na białaczkę w 1925 roku. Teodora dzielnie kontynuowała wspólne dzieło. Przez ostatnie lata mieszkała w pralni. Żyła w nędzy. Pisała podania o zapomogi. W 1948 roku przekazała skansen państwu. Do śmierci - zmarła w 1951 roku - sprawowała nad nim opiekę.

Niewiele już pamięta

Władysława Wiśniewska, mistrzyni haftu, laureatka niezliczonych nagród i konkursów sztuki ludowej, słynna pani Władzia, przed laty uczennica Teodory Gulgowskiej, mieszka w starym domu w centrum wsi.

- Panią Gulgowską - mówi - zapamiętałam jako ładną kobietę, przedsiębiorczą i życzliwą ludziom. Zawsze chodziła ubrana w białą, haftowaną suknię z szerokimi rękawami i stójką nad kołnierzykiem. Gdy ktoś zachorował, odwiedzała i pomagała. Wiedziała, jakie zioła na co pomagają. Wszystko to robiła bezinteresownie. Lubiła ludzi. Dzieliła się z potrzebującym tym co miała.

- Na lato wszystkie dziewczęta mieszkające we Wdzydzach Kiszewskich wyjeżdżały na Żuławy. Od maja do Wszystkich Świętych pracowałyśmy na polach u bauerów. Na zimę wracałyśmy do domu i wtedy Gulgowska zlecała nam hafty. To był dodatkowy zarobek i ciekawe, przyjemne zajęcie. Inaczej siedziałybyśmy i oknem wyglądały, jak śnieg pada.



Wymarła wdzydzka inteligencja

Doświadczonych twórców ludowych jest już niewiele. W skansenie organizowane są - pod hasłem „Ginące zawody” - cyklicznie kursy haftu i plecionkarstwa.

- Wyszywać - mówi Władysława Wiśniewska - niektóre młode umieją, ale prawie nie uprawiają tego zajęcia. Nie tylko chodzi o brak serca do haftu. Zwyczajnie - nie ma teraz na to zbytu. Kiedyś stoiska mieliśmy bezpłatne. Nie stać mnie, żeby na Jarmarku św.

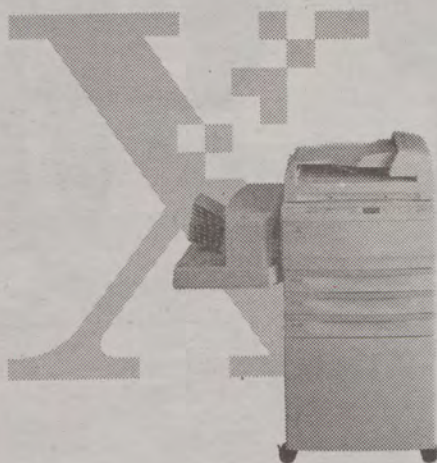
Dominika zapłacić milion za stragan i nic nie sprzedać.

- Wymarła wdzydzka inteligencja - kontynuuje moja rozmówczyni. - Po śmierci bratanicy Teodory Gulgowskiej, odeszły jej przyjaciółki, nauczycielki - Stanisława Barsznik i Maria Wierzejewska, które także tutaj mieszkały i swoim życiem i pracą wpływały na ludzi. Ci, którzy się u nas bogacą, myślą tylko, żeby jak najwięcej zarobić. Oj, przydałaby się u nas teraz taka pani Gulgowska...

Katarzyna Korczak
Zdjęcia: Maciej Kosycarz

THE DOCUMENT COMPANY XEROX

WYSOKA JAKOŚĆ + NISKA CENA = X*



sprzedamy

odkupimy

leasingujemy

dzierżawimy

3 lata gwarancji i pełna obsługa serwisowa



REWOLUCJA CENOWA!!!
ZADZWOŃ!!!



*Rozwiązania szukaj u: Consult-Q, ul. Straganiarska 28/30, Gdańsk, tel. 462-347
Tpestar, Starogard Gdański, ul. Sambora 8, tel. 286-78

**Oferta limitowana



Fot. Robert Kwiatek

Włosy długie, opadające miękkimi puklami na ramiona, albo szesane gładko do tyłu i spięte na karku gumką lub klamrą, ufarbowane na blond, mahoni czy platynową biel, w uchu przynajmniej jeden kolczyk - oto ważne, acz bardzo kobiece, atrybuty modnego mężczyzny końca XX wieku. A wszystko dlatego, że - jak napisała w roku 1600 wenecka Lucrezia Marinella, „mężczyźni usiłują naśladować naturalne piękno kobiet sztucznymi środkami, gdyż skrycie je podziwiają”.

Męski homo erectus maszerując przez zagajnik odczuwał przykrość, bowiem pleć jego nie była dostosowana do pozycji wyprostowanej. Zdecydowanie lepiej wyglądały kobiety, ale najlepiej - szympansy. Pozazdrościł więc kuzynom i odział się w futro zabiętego drapieżnika. Później, gdy ludzkość nauczyła się tkąć, nosił na biodrach przepaskę lub owijał się udrapowanymi tkaninami, na głowę zakładał wieniec, najlepiej laurowy, który w epoce wschodzącej chrześcijańskiej zamienił na kaptur.

Papuga i dzwoneczki

W wieku XII zdecydowanym ideałem mężczyzny stała się jednak kobieta, i od tej pory, przez 800 bez mała lat, usiłował upodabniać się do tego wzoru. Wtedy też krawiectwo, po raz pierwszy w dziejach, wzięło czynny udział w sztuce kreowania sylwetki eleganckiego człowieka. A człowiek ów gotów był na największe poświęcenia, byle tylko wyglądać ładnie.

Ponieważ niedoścignionym wzorem była młoda, smukła, wąskobiodra i długonoga dziewczyna, gotycki młodzieniec ubierał się w tak obcisły kaftan, że nie wchodził przez głowę i tak krótki, że nie sięgał pasa. Rękawy również były bardzo wąskie, a na pierśsiach, dla wypukłości, kaftan ów był wstawiany. Pośladki przykrywały wąskie, króciutkie spodnie, a nogi - dopasowane, zszywane z tyłu tyldki pończochy. Ponieważ średniowiecze kochało się w kolorach, dla każdej połowy ciała dobierano inne. Na przykład prawa strona kaftana była czerwona lub pomarańczowa, a lewa - niebieska albo też różowa. Pończochy nie tylko były w różnych barwach, ale jeszcze zszywane z kolorowych rombów.

Całości dopełniały buty, niekiedy tak spiczaste, że ich czubki trzeba było przywiązywać pod kolanem złotym lub srebrnym łańcuszkiem. Do tego bywały tak wąskie, że przechodzący wieśniacy dziwili się: jak facet zdołał w nie wleźć i jak z nich wylezie? Do tego wszystkiego włosy utrefione żelazkiem, wyskubane brwi, szminka na twarzy, a przy pasku, na ramionach i w poprzek żakietu - srebrne dzwoneczki. I tak mienią się kolorami jak papuga, w kapeluszu z pawich piór, pobrzękując dzwoneczkami, krokiem kołyszącym się jak kaczka, nie dotykając obcasami ziemi, tylko stąpając misternie na palcach spacerował średniowieczny mąż modny.

Krowi pysk i klapka

Mężczyzna renesansu kokietał siłą oraz płcią. Wąskie butki zamienił na tak szerokie, że nazywano je krowim pyskiem. Palce stóp były rozczapierzone jak u ptaka, każdy osobno. Kaftan mocno wstawiany, by cherlawym dodawał barów i bicepsów, a krótkie spodnie, w sposób niewstydlawy, z przodu łączyła wysunięta dekoracyjnie w przód trójkątna klapka, teatralnie eksponująca męskość. Aby ta część przyodziewku była bardziej widoczna i ozdobna, przybierała niekiedy kształt muszli. Dekorację tę wykorzystywano w sposób dość zaskakujący, służyła bowiem jako sakiewka na monety, kieszonka na chusteczkę a nawet jako schowek na pudełko z cukierkami. Za to z tyłu spodnie były maksymalnie opięte, by ukazywać muskularność pośladków. Z bardzo

Z zazdrości do małpy i damy

Mąż modny

obszernych, jak baranie udźce, rękawów kaftana wystawały koronkowe mankiety, a zamiast gotyckich loków i gładkiej buzi, renesansowy elegant zapuścił bródkę i ostrzygł się na okrągło „w misę” albo „donicę”. Na głowę założył ogromny beret, na niego kapelusze albo dekorację z białych strusich piór.

Gorset i półmisk

Mężczyzna drugiej połowy wieku XVI nosił gorset, a głowę układał na ogromnej krecie niby na półmisku. Spiczasta bródka, króciutki, obcisły kaftan jak trójkąt postawiony na ostrym końcu, spiczaste trzewiki. Do tego gątki krótkie i mocno wywątowane, by przybrały kształt kuli (w Anglii ta hiszpańska moda nabrała takich rozmiarów, że konieczne okazało się przebudowywanie ław w parlamencie, bo eleganci lordowie tak wypchali sobie portki, że w zwykłej ławie nie mieścili się), na nogach pończochy jedwabne a tyldki okryte cholewkami z delikatnej, miękkiej skóry kurdybańskiej - by nie leciały oczka, bowiem wtedy noszono już pończoszki tkane, nie szyte. Na głowie elegant nosił sztywny beret z piórkiem lub stożkowaty cylinderek.

Peruka, koronki i czerwony obcasik

No i wreszcie nastał czas peruk, które wspaniale upodabniały twarz męską do kobiecej. Niestylanie obfite, spływały długimi zwojami na ramiona, a loki spadające na (gładko wygoloną) twarz przewidywano wstążeczką. Taka dekoracja głowy nazywana była państwowa, ponieważ stała się obowiązkiem i pokazaniem się na dworze bez niej było ciężkim przestępstwem. Spod krótkiego kaftana wystawała bielizna puszysta, zdobiona koronkami, wstążkami. Spodnie wąskie i obcisłe, sięgające kolan, również przewidywane były kokardami, a zasłaniała je spódniczka, zdobiona po bokach pękami wstążek - w ogóle mężczyzna wieku XVII mógł chodzić i śpiewać: „cały jestem w koronkach”. Szczególnym elementem kokieterii były nogi: opięte jedwabnymi pończoszkami, pod które modnie wkładali tzw. pantorillas, czyli sztuczne tyldki, uwytłaczające wdzięki. Całości dopełniały buty na wysokich obcasach, obowiązkowo malowanych na czerwono, ozdobione klamrami, wstążeczkami, koronkami. Wśród wykwinnej młodzieży powszechne było używanie perfum i szminki tak, „że mówiąc z nimi nie wiesz - powiedział Lope de Vega - czy to oni, czy też ich siostry”.

Za Ludwika XVI fraczek, usztywniany woskowanym papierem, w biodrach rozszerzał się tak mocno, że upodabniał do damskiej krynoliny. Spod niego kokietyrnie wysuwała się jedwabna bielizna, koronkowe mankiety, żabot i biała, damska chusteczka wokół szyi. Lwia grzywa została zastąpiona loczkami amorka: główka mała, okrągła, włoski w kolorze srebra, bogato upudrowane, z tyłu warkoczyk przewiązany kokardką. Z boków głowy obowiązkowe były po dwa, fryzowane gorącym żelazkiem, pukle. Moda ta była przestrzegana w całej Europie (również w Polsce) tak restrykcyjnie, że żołnierzom gwardii, nie mającym czasu na trefienie peruczki, rozdawano loki z gipsu i kazano przywiązywać pod kaszkietem.

Spodnie - atrybut władzy

Peruka przetrwała cały wiek XVIII, i dopiero w XIX stuleciu widywana była tylko na niektórych dworach, na głowach upartych, konserwatywnych starców oraz sędziów i urzędników angielskich. Nie oznacza to jednak, że mężczyźni przestali się stroić. W czasach rewolucji francuskiej poprzeczali się za przeciwników Burbonów. Co na dworze było białe - u sankiulotów kolorowe, co tam obcisłe - tu szerokie, co uczesane - potargane, co wymuskane - programowo niechlujne, a krótkie zamienione zostały na długie. Sama nazwa bojowników, sans culotte, oznaczała: bez jedwabnych, dopasowanych spodni po kolanka.

Epoka napoleońska to chmara panów wzorujących się na Apollinie - tors muskularny, stan podniesiony, ramiona szerokie dzięki odpowiedniemu krojowi, szamerunkowi oraz epoletom. Kołnierze koszuli tak wysoki, że sięgał połowy policzka, a spodnie tak obcisłe, że pełni obaw krawcy pytali swych klientów: czy aby na pewno mają zamiar w nich siadać?

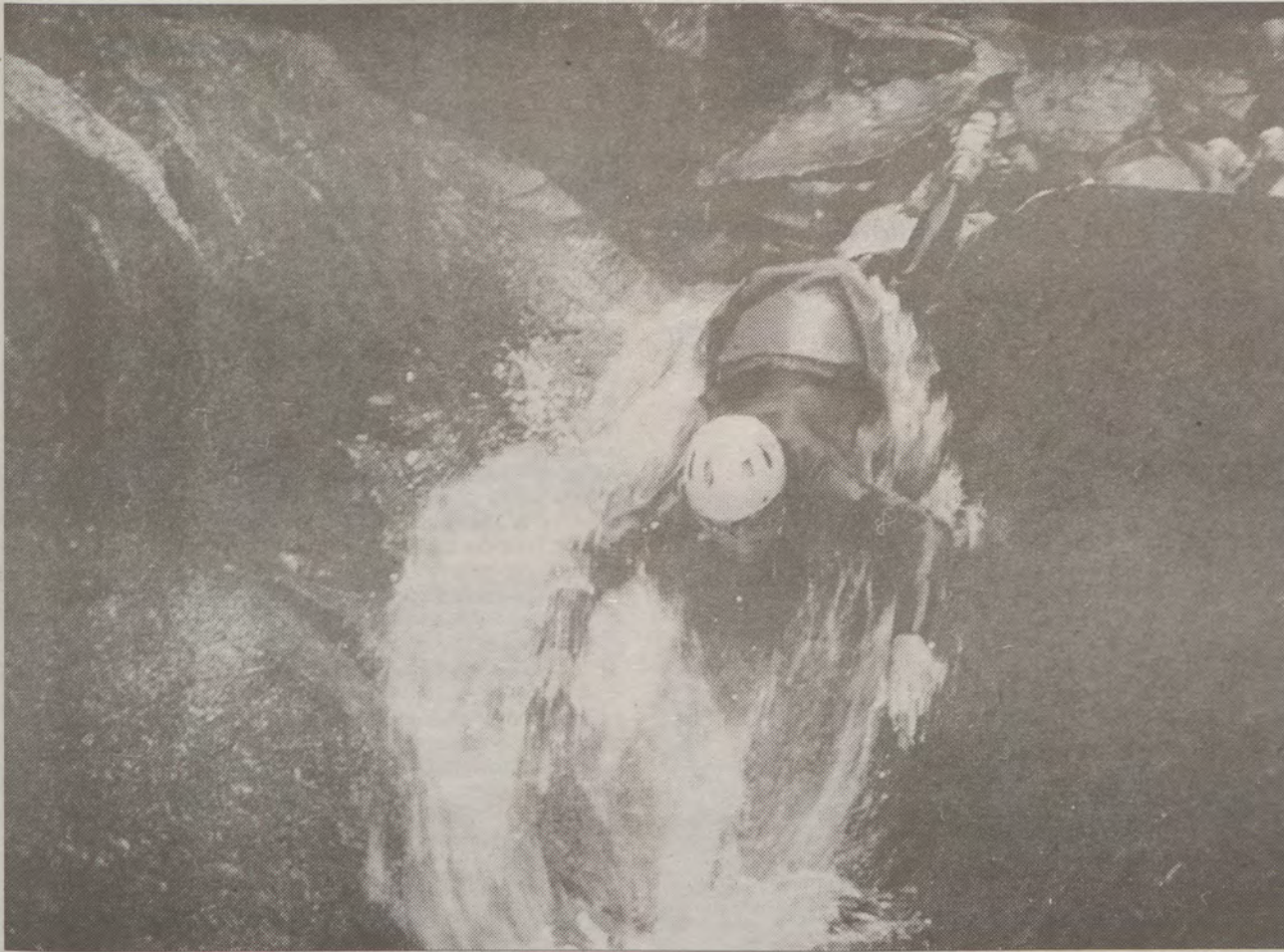
Spodnie te, wypromowane jeszcze przez jakobinów, były prekursorami nowoczesnych, które stały się synonimem płci oraz pozornym atrybutem władzy. A przebijanie się - jest aktualne do dziś. Na ulicy można bez trudu odróżnić przemysłowca w garniturze (od Armaniego) od „marketingowca” ustrojonego „na biznesmena” - z obowiązkową dyplomatką, kitką związaną gumką; tysego jak tłuczek luzaka z kolczykiem w uchu, od ufarbowanego na rudo artysty, a tego z kolei od potarganego dziennikarza-sankiuloty.

Małgorzata Sokołowska



Szczególnym elementem męskiej kokieterii zawsze były nogi. Niegdyś opięte jedwabnymi pończoszkami ze sztucznymi tyldkami pod spodem, dzisiaj z mięśniami wyrzeźbionymi na siłowni. Oto współcześni Apollini w ubraniach w stylu techno według mistrza Versace oraz wiodąca ich saper modelka Naomi Campbell.

Fot. PAP/CAF-AP



Fot. Piotr Gajek

Silniejsi od wodospadu

Pierwsza polska ekspedycja spenetrowała dwa kaniony górskich rzek Lot i Tarn w Masywie Centralnym we Francji, w departamencie Lozère i Aveyron. Przez dwa sierpniowe tygodnie uczestnicy walczyli ze strumieniami wody lejącej się im na głowy, pokonywali wodospady, przeskakując je, lub zjeżdżając na linie. Wchodzili do podziemnych jaskiń, nurkowali i świetnie się bawili, chociaż niekiedy dławili ich strach.

Kanioning wymyślono w latach siedemdziesiątych na południu Francji. Rychło zaczęto go uprawiać w Hiszpanii i we Włoszech. Obecnie popularny jest na Madagaskarze, w Nowej Gwinei i w Brazylii. U nas wprowadził go Piotr Gajek, do dziś jedyny polski instruktor kanioningu. Nie udało mu się tego sportu upowszechnić, gdyż brakuje u nas warunków do jego uprawiania. Próby czyniono w okolicach Szklarskiej Poręby i Tatrach. Jednak najatrakcyjniejsze wąwozy znajdują się na obszarze ścisłych rezerwatów i nie są dostępne dla zwykłego sportowca.

Przełamać własny lęk

- Jest to dziwny sport - mówi Piotr Gajek. - Ostatnio zyskuje coraz więcej sympatyków. Polega na wędrowce z biegiem rwącego nurtu górskiej rzeki, otoczonej stromymi ścianami skalnymi.

Człowiek podąża za wodą jak kropla potoku, pokonuje skalne przeszkody, które ona opływa i z wysokości kilkuset metrów, wpada do głębokiego jeziora, pełnego zdradliwych wirów. A po zwycięskiej walce wypływa, by nieco dalej

zjechać w dół wąskim żłebem, objając się niemiłosiernie o sterczące skały.

- Wszystko po to, żeby przezwyciężyć próbę sił, walczyć aż do bólu, aby ostatecznie zwyciężyć lub zostać pokonanym - mówi Katarzyna Kamińska, lekarka z Warszawy, jedna z czterech kobiet uczestniczących w wyprawie. - Nie pojechalibyśmy do Francji, żeby się zabić, tylko żeby się bawić. A jednak na krawędzi wodospadu, gdy trzeba było z wysokości 12 m skoczyć do jeziora, tak precyzyjnie wyliczając miejsce upadku, aby nie rozbić się o skały, strach paraliżował mięśnie. Potem, gdy już znalazłam się na dole, nastąpiło odprężenie, radość z pokonanej trudności, z tego, że przeżyłam samą siebie.

Na podbój kanionu

Gdy na kempingu w miejscowości la Canourgue (ok. 170 km na północ od Montpellier) wszyscy jeszcze spali, polska ekipa, ubrana w kombinizony z pianki ze wzmacnieniami na pupie, kolanach i łokciach wyruszyła do Tapoul (dopływ rzeki Tarn), zimnego, górskiego potoku, pędzącego

po granitowych skałach. Woda, gdy wreszcie do niej dobrnęli, miała 8-10 st. C. Ubrani w uprząż wspinaczkową, obwieszani linami, przyrzędami do zjazdu i asekuracji, w kaskach na głowach i z żywnością w wodoszczelnych pojemnikach umocowanych na plecach, ruszyli... Śliskie kamienie utrudniały marsz. Wory na plecach, nabierając wody robiły się coraz cięższe.

Wreszcie pierwsza przygoda - zwałisko głazów. Woda spiętrzała się i spadała z hukiem po drugiej stronie z wysokości 2,5 m. Trzeba było skoczyć do kipieli. Instruktorzy doradzili, żeby strach zwyciężać krzykiem. Ktoś wymyślił hasło: „skok k... skok”. I tak już zostało.

- Stajesz na krawędzi, krzyczysz i skaczesz - mówi Artur Zwierchowski, uczeń pomaturalnej szkoły filmowo-telewizyjnej, uczestnik wyprawy. - Mnie to pomagało. Raz, gdy ekipa telewizyjna z bliska kręciła mój skok i musiałem powstrzymać się od brzydkich wyrazów, nogi ugięły się pod mną, serce kołatało gdzieś w głowie i nie mogłem złapać oddechu.

Przechodzili wszyscy

Potok nabierał prędkości, koryto zwężało się. I nagle kolejny wodospad: - 15 m. Próg jest bardzo nierówny. Po obu stronach pionowe skały. W dole - małe oczko jeziora. Prze-

Kanioning, nowy szat!

Człowiek podąża za wodą, jak kropla potoku, pokonuje skalne przeszkody, które ona opływa.

wodniki ostrzegają przed skokami w tym miejscu. Umieszczona w załomie skalnym tabliczka informuje, że zginęły tu trzy osoby. Skok to pewnie samobójstwo. Trzeba skorzystać z liny.

- Nie było takiej sytuacji, żeby ktoś nie przeszedł - kontynuuje relację Katarzyna Kamińska. - Presja grupy nie pozwalała na załamania psychiczne. Zresztą, kanioning nie jest niebezpieczny, jeśli zachowuje się zdrowy rozsądek, stosuje podstawowe zasady asekuracji, a zmagania rozpoczyna się pod baczny okiem doświadczonych instruktorów. Korzystaliśmy z przewodników, bowiem we Francji większość kanionów jest już opisana. Dowiadaliśmy się jak skoczyć, aby nie dostać się w wir. Znajdowaliśmy tam również informacje o lokalizacji kamieni, chociaż te zmieniają położenie.

Lwia wyprawa

- Pomysł zorganizowania wyprawy wyszedł od miesięcznika „X”, propagującego spor-

ty ekstremalne - mówi Robert Urbaniak. - Uczestników wybrano podczas lipcowych eliminacji w Szklarskiej Porębie. Najpierw były ogłoszenia w prasie. Adresowano je do ludzi aktywnych, kochających turystykę i sport. Zgłosiło się 50 osób. Wybrano 30 młodych ludzi i poddano próbom pływania, nurkowania, wspinaczki oraz ogólnej wytrzymałości. Ostatecznie do wyjazdu zakwalifikowało się 10 osób - studenci i absolwenci wyższych uczelni z Warszawy, Skierniewic i Poznania.

- To była wspaniała wyprawa - dodaje Katarzyna Kamińska. - Nikt się z nikim nie pokłócił. Teraz wspólnie zamierzamy ukończyć kurs spadochronowy, speleologiczny i w przyszłym roku zaatakować kolejne kaniony. Wbrew pozorom nie jest to sport drogi, a dobre przygotowanie wyprawy gwarantuje bezpieczeństwo.

Maria Giedz

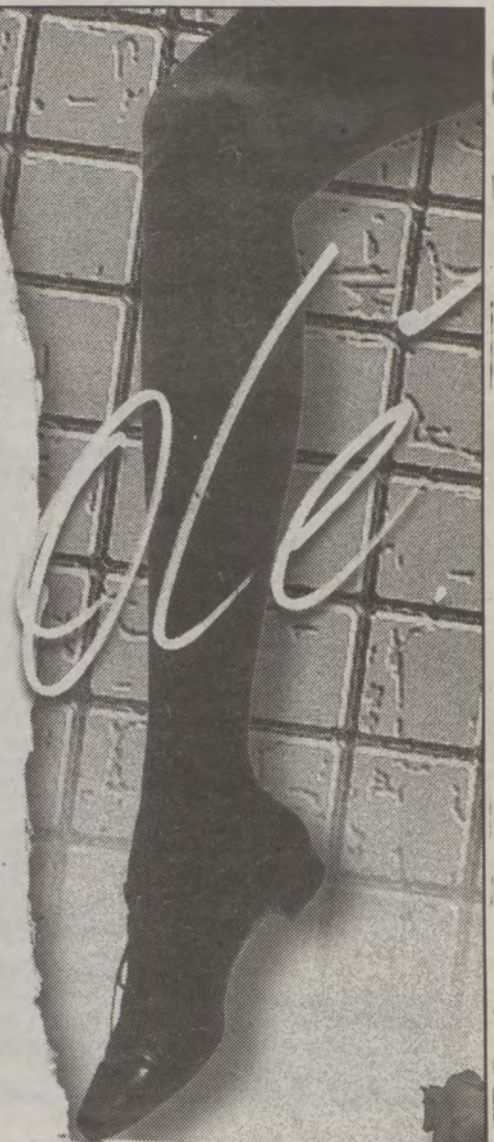
GLAZURA
TERAKOTA

MEBLE
ŁAZIENKOWE

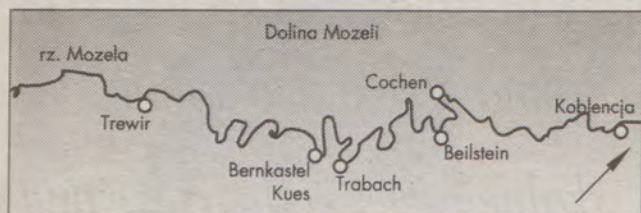
SKLEPY FIRMOWE

TOMAR®

ELBLĄG
UL. ARMII KRAJOWEJ 7/8
GDAŃSK
UL. ŁĄKOWA 35/38



Podróże



Winnice, spiczasta wieża kościoła, łupkowe dachy i Mozela.

- Fot. Andrzej Gołębiowski

Dolina Mozeli

Szlak białych win



Zaulek w Beilstein.

Fot. Andrzej Gołębiowski

Kochany Bóg nie chciał, by szlachetne wino się marnowało i dlatego obdarzył nas pragnieniem. Taki mniej więcej jest sens złotej myśli zapisanej gotykiem na ścianie starej kamienicy w Bernkastel-Kues - malowniczym miasteczku położonym na obu brzegach Mozeli. Na więcej się meandrami z południowego zachodu na północny wschód rzecę jak paciorki naszyjnika nanizane są miasta i miasteczka piękne i gościnne, zapraszające wędrowca do pucharu z winem, do zabawy w czas winobrania, do wypoczynku.

Warto w drodze na przykład do Paryża zjechać z autostrady na dzień lub dwa i pojechać Weinstrasse, czyli Drogą Winną wzdłuż Mozeli, warto zatrzymać się na dłużej w jednym z najpiękniejszych regionów Niemiec -

między Trewirem a Koblenką.

W letnim sezonie walą nad Mozela tłumy Niemców przede wszystkim z nieodległego Zagłębia Ruhry. Uroczne, kolorowe miasteczka kipią zmotoryzowaną „stonką”. Mimo to można być pewnym, że nie zabraknie wolnych pokoi w niezliczonych hotelikach i w gościnnych domach mieszczan i wiejskich gospodarzy i wina w winiarniach, probierniach oraz piwnicach sławnych w całej Europie winiarzy.

Historia regionu ma początek w germańskich mitach i legendach. One to właśnie - na czele z *Pieśnią o Nibelungach* - rodziły się gdzieś tu, u zbiegu Mozeli i Renu.

Pisana historia doliny Mozeli sięga czasów rzymskich. Pierwszy - licząc od granicy francu-

Białe wina mozelskie uznawane są za jedne z najlepszych w świecie.

Kerner, Bacchus. Obok tych, znanych szeroko także poza granicami Niemiec, w miasteczkach i wioskach można trafić na znakomite wina lokalne. We wsi Piesport na przykład Piesporter Goldtröpfchen, Taubengarten i Güntherley, w Wintrich - Wintricher Grosse Herrgott's, zaś w Trittenheim - Trittenheimer Altärchen i Trittenheimer Apotheke. Z pobliskiego Neumagen, dawnej rzymskiej osady, pochodzi jeden z najsłynniejszych za- bytków starożytnych, przecho- wywany w Muzeum Państwo- wym w Trewirze kamienny We- inschiff - trzymetrowy fragment rzymskiego nagrobka z III wie- ku w formie statku wiosłowego.

Wina można kupić wszędzie. Szyldy i tablice przy szosach za- prasają do probierni, sklepów i piwnic, można także zamawiać u winiarzy większe dostawy - pocztą. Są to wyłącznie wina białe - od bardzo wytrawnych do słodkich.

Druga połowa sierpnia i wrze- sień, to czas świąt winobrania. O dacie Weinfestu informują ta- blice przy szosie przed wjazdem do każdej miejscowości. Można spędzić cały urlop biesiadując, przenosząc się tylko z jednej miejscowości do drugiej. Gre- mialne picie wina odbywa się pod panowaniem królowej, która za- wsze przy swym imieniu nosi nu- mer jeden. Tak się na ogół składa, że królowa - czy to Sabine I, Hil- degarde I czy inna Lilian I (stare niemieckie imiona żeńskie wy- chodzą z mody) jest córką któ- regoś z najważniejszych miejsco- wych winiarzy. Na ścianie jego domu sporządza się więc stosow- ne dumne obwieszczenie, zaś po- dobizna córeczki może przez naj- bliższy rok ozdabiać butelki wina produkowanego przez tatusia.

Dolina Mozeli urzeka

pięknem. Rzeka wije się w głębokim wąwozie. Bardzo strome południowe stoki pokry- wają równymi rzędami winne krzewy. Ich pielęgnacja i zbiór gron nie są łatwe.

Na szczytach wzgórz, przyle- pione do zboczy tkwią zamki i ich ruiny. W zamku w Kloten, około 1050 roku, w szacie benedyktyń- skiej zakonnicy mieszkała Ryche- za (Rykza) - wnuczka siostry ce- sarza Ottona III i polska królowa, wdowa po Mieszku II.

Pod zamkami, nad rzeką cią- gną się miasta i miasteczka ze szpicami wież kościelnych i z to- nącymi w pelargoniach domami z kolorowego „pruskiego muru”, kryte łupkową dachówką. Wśród nich - prawdziwe perełki: Co- chem, Beilstein, umieszczone przez UNESCO na liście świato- wego dziedzictwa kulturowego, Traben-Trarbach, podwójna perła Bernkastel-Kues i Trewir.

Andrzej Gołębiowski

Kilka dobrych rad

Podróżować po dolinie najlepiej samochodem. Wzdłuż brzegów Mozeli biegnie też linia kolejowa, rzeką kursują statki wy- cieczkowe. Jest mnóstwo kempingów, hoteli i pokoi w prywatnych domach. Nie- stety - wszystko niezbyt ta- nie. W kwaterach prywat- nych płaci się około 35 DM od osoby (ze śniadaniem). Ceny żywności nie odbiega- ją od przeciętnych w Niem- czech, za to wina są tańsze...

Agroturyzm dla każdego

Wakacje na sianie

Ci którzy lubią wypoczy- wać w odludnych stronach zapewne chętnie odwiedzą województwo suwalskie. Jest ono najsłabiej zalud- nionym regionem kraju. Oddalenie od wielkich ośrodków miejskich i słabe uprzemysłowienie sprzyja- ją rozkwitowi przyrody, utworzono tu region „Zie- lone Płuca Polski i Euro- py”.

Piękno krajobrazu Poje- zierza Suwalskiego tworzą liczne i czyste jeziora poro- rzucane między wzniesienia- mi. Szczególnie urokliwe są okolice jeziora Hańcza. Atrakcją regionu jest też jego usytuowanie na kulturowym i etnicznym pograniczu. Wiele tu wsi litewskich, w tym Puńsk - „stolica” za- mieszkujących w tych stro- nach Litwinów. Istnieje kilka możliwości znalezienia go- spodarstwa agroturystyczne- go na tym terenie. Rezerwa- cji można dokonać za po- średnictwem Biura Agrotu- rystyki Suwalskiej Izby Rol- niczo-Turystycznej (16-400 Suwałki, ul. Kościuszki 71, skr. poczt. 76, tel. /0-87/ 66- 58-72, tel./fax 66-54-94). Większość gospodarstw zlo- kalizowana jest w okolicach Suwalskiego Parku Krajo- brazowego (z jez. Hańcza) i Wigierskiego Parku Naro- dowego (z jez. Wigry).

W okolicach Sejna, na po- graniczu z Litwą i na obrze- żu Puszczy Augustowskiej rozlokowane są kwatery Sto- warzyszenia na Rzecz Roz- woju Sejna i Sejneńszczyzny (16-500 Sejny, ul. Piłsud- skiego 25, koperta z dopi- skiem „Serwis”, tel./fax /0- 87/ 16-34-00).

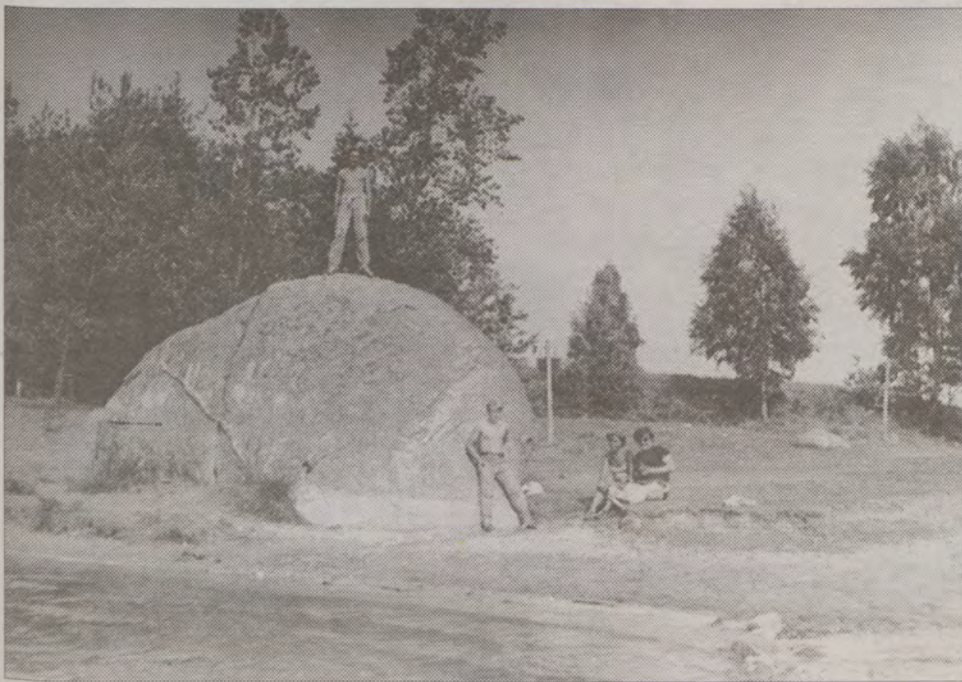
Oferta woj. suwalskiego obejmuje również Krainę Wielkich Jezior Mazurskich. Najwięcej gospodarstw znaj- duje się w okolicach Puszczy Boreckiej, Giżycka i Mikola- jek (w pobliżu Puszcza Piska i jez. Śniardwy). Są to tereny szczególnie atrakcyjne dla amatorów sportów wodnych. Jeziora Śniardwy i Mamry po- łączone kanałami z innymi je- ziorami umożliwiają długie wędrowki wodne. Rozległe la- sy uciechą miłośników wycie- czek przyrodniczych i krajo- znawczych. Adresy kwater agroturystycznych z tego tere- nu uzyskamy w Mazurskiej Izbie Turystycznej i Rolniczej (11-500 Giżycko, ul. Gdańska 11, tel./fax /0-878/ 38-31), wa- runki pobytu uzgadniać należy bezpośrednio z gospodarzami.

Informacją o całym woje- wództwie dysponuje Ośro- dek Doradztwa Rolniczego w Olecku (19-400 Olecko, ul. Kolejowa 31, tel. /0-116/ 30-31, fax 22-17).

(mir)

Rusz się!

Pęknięty głaz nad jeziorem



Diabelski kamień ma 17 m w obwodzie i długość około 5 m.

Fot. Stanisław Strojny

Po dłuższej przerwie wracamy na szlak czerwony. Co było do przewidzenia, gdyż żaden inny - o czym już pisałem - nie jest tak atrakcyjny.

Tym razem będziemy wędrować nieco dalej od Gdańska, bo w okolicy Mirachowa - duktami i drogami Kaszubskiego Parku Krajobrazowego.

Trasa wędrowki liczy ok. 10-12 km długości.

Wysiadamy z autobusu w Mirachowie - dużej wsi leżącej na skraju sporych kompleksów leśnych zwanych lasami mirachowskimi. Znaki szlaku spotykamy niemal natychmiast, ale na razie lekceważymy je i idziemy szosą w kierunku Strzepca. Po przekroczeniu strumyka szosa rozwidla się - w prawo do Strzepca i w lewo do Bącza. My idziemy prosto, utwardzonym duktem, lekko wznoszącym się wśród zarzewionego parowu. Po kilkuset metrach wychodzimy na połączoną drogę, która doprowadzi nas do odległego o 1 km lasu. Idąc lasem docieramy do szosy i ona doprowadza nas - a idziemy da-

lej prosto - do leśniczówki Mirachowo. Przy zabudowaniach skręcamy z szosy w prawo i skrajem lasu dochodzimy do dużego śródleśnego biwakowskiego i pola namiotowego. Jest tu również ciekawy leśny dwór - duża, drewniana budowla z miejscami noclegowymi, przeznaczona na różnego rodzaju imprezy plenerowe. Maszerujemy dalej i po chwili spotykamy znaki czerwone dochodzące z lewej strony do naszej drogi. Idąc za znakami w lewo doszlibyśmy do Kamienicy Królewskiej, my jednak odbijamy w prawo drogą w dół do wschodniego krańca jeziora Lubogóść. Jezioro wraz z otaczającym go lasem stanowi leśny rezerwat krajobrazowy. Świadczy o tym ustawione tu przy drodze, na brzegu jeziora tablice informacyjne. Od tego miejsca szlak prowadzi drogą wiodącą pod górę, wśród mieszanego lasu. Krętymi drózkami dochodzimy do wsi Kamienna Góra. Tuż za jej zabudowaniami szlak sprowadza nas na brzeg malowniczego Jeziora Kamiennego. Niebawem docieramy do rozległej, trawiastej „plaży” z dominującym na niej ogromnym gla-

zem narzutowym zwanym „diabelskim kamieniem”. Ze względu na duże pęknięcie widoczne na jego powierzchni nazywany jest też „Pękniętym Głazem”. Jest on jednym z największych na Pomorzu pomnikiem przyrody Ma 17 m w obwodzie i długość ok. 5 m. Pięknie prezentuje się na tle równie uroczego jeziora. Utrudzeni, możemy przysiąść na trawie. Jest to wspaniałe miejsce na odpocznik i podziwianie zgromadzonych tu dziwów natury.

Od jeziora drogami polnymi dochodzimy do szosy Mirachowo - Strzepech. Skręcamy w prawo i szosą dochodzimy do wsi Nowa Huta. Szlak skręca w lewo, w głąb zabudowań i następnie w prawo wyprowadzając nas na rozległą łąkę w dolinie rzeki Łęby. Tu należy uważać na znaki. Po przekroczeniu strumyka droga wznosi się i prowadzi wśród pól do widocznych już zabudowań Mirachowa. Znaki doprowadzają nas do przystanku PKS, gdzie kończymy wycieczkę.

We wsi są bar i sklepy - czynne również w niedzielę.

Stanisław Strojny

Jak dojechać

Do Mirachowa dojedziemy autobusem PKS z Gdańska o godz. 7.40, 8.15 do Kartuz, tam przesiadamy się na autobus, który odjeżdża do Mirachowa o godz. 9.00, 10.00. Wrócić można m.in. o godz. 16.26, 17.35 autobusem do Kartuz a stąd do Gdańska o godz. 17.10, 18.20.

(mir)

• W sobotę Nadwiślański Klub Krajoznawczy Trsów działający przy Muzeum Wisły w Tczewie zaprasza na pieszą wędrowkę krajoznawczą z cyklu „Brzegiem Wisły” na trasie: Nowa Cerkiew-Palczewo. Zbiórka uczestników na dworcu PKS

w Tczewie skąd o godz. 9.30 nastąpi wyjazd do Nowej Cerkwi. Dużą atrakcją tej wędrowki będzie zwiedzenie autentycznego wnętrza wia-

traka holenderskiego w Palczewie.

• W niedzielę Klub Turyistów Pieszych Bąbelki zaprasza na wycieczkę pieszą, która



Dwór Królewskiej Doliny

Fot. Jerzy Samp

Pomiędzy ulicami Do Studzienki a Powstańców Warszawskich, wzdłuż ulicy Sobieskiego we Wrzeszczu rozciąga się malownicza Dolina Królewska, do której odwiedzenia serdecznie dzisiaj zachęcam.

Posiadłość określaną niegdyś po prostu mianem „Zielonej” nabył w 1654 roku Zachariasz Zappio. Był to zamożny gdański kupiec, wielki miłośnik nauki, a zarazem jeden z najhojniejszych w mieście dobroczyńców. Szczególnie szczerze obdarowywał kościół św. Jana oraz istniejącą przy tej świątyni bibliotekę.

Na terenie swej podmiejskiej posiadłości patrycjusz ów urządził wkrótce podziw budzącą letnią rezydencję. Wzniesiony tutaj barokowy dwór z pierwszej połowy XVII wieku przez dziesiątki lat należał do najwytworniejszych w całej okolicy budowli. Jego gospodarz jako wytrawny znawca sztuki dbał o odpowiedni wystrój pałacowych wnętrz i otoczenia. Jeszcze w czasach, gdy ekskluzywna rezydencja dawno już miała za sobą okres największej świetności, a więc po pierwszym rozbiórze Polski, zwiedzający ją wówczas Daniel Chodowiecki z uznaniem pisał o artystycznych walorach dzieł zdo-

biących samą budowlę, jak i park.

Dwór i jego otoczenie kryły wiele niespodzianek i tajemnic. Nie wszystkie udało się wyjaśnić. Mam na myśli ukryte drzwi, tajemne przejścia oraz obiekty o nie określonej do końca funkcji. Nie wiem też, czy ustalono kim była przedwcześnie zmarła Wilhelmina. Jej imię widniało na kamiennym grobowcu w jednym z parkowych zakątków.

W skład założenia ogrodowego wchodziły m.in. trzy stawy (w tym jeden rybny), efektowny wodospad na skarpie, fontanna, do której wiodły ogrodowe aleje, a odpowiednio pielęgnowane korony drzew tworzyły rodzaj zielonego baldachimu. Dominujące nad rezydencją wzgórze widokowe wieńczyła altana przypominająca swym kształtem świątynię.

Niewątpliwie do najosobliwszych budowli należała lodownia w formie kamiennej groty - podobna do tej, jaka przetrwała do naszych czasów w Parku Oruńskim. Wiodło do niej dobrze zamaskowane, tajemne wejście. Niegdyś strzegły go wyrzeźbione w kamieniu postacie dwóch nimf. Ze szczytu usypanej z ziemi schodkowej piramidy roztaczał się rozległy widok nad Zatokę Gdańską.

Długo jeszcze można by prawić o osobliwościach rezydencji Zachariasza Zappio, o dziełach sztuki i meblach zdobiących pałacowe wnętrza. Pora jednak wyjaśnić, dlaczego do malowniczej wrzeszczańskiej doliny na dobre przylgnęło miano „Królewskiej”. Sprawili to odwiedziny, niejedne zresztą, głów koronowanych. Latem roku 1677 gościł tu król Jan III Sobieski, natomiast w roku 1717 August II Mocny.

Z dawnej rezydencji zachował się, wielokrotnie w przeszłości przebudowywany, zabytkowy dwór z kolumnowym ganikiem. Przetrwały elementy wystroju jego wnętrza: sztukaterie, kominki, piec, klasycystyczne boazerie i rokokowe drzwi wewnętrzne. Po wojnie urządzono tu przedszkole. Z parku zniknęły zdobiące go jeszcze ćwierć wieku temu rzeźby z czerwonego piaskowca, zamuleni uległy tarasowo położone stawy, niszcząc je okazy starodrzewu. Mimo to zachęcam gorąco do zwiedzenia tego miejsca, chociażby po to, by pochylić się nad bijącym tu wciąż z ziemi i legendą owianym źródłem. Dawni gdańszczanie przekonani o niezwykłych właściwościach wody przywracającej ociemniałym wzrok uważali „Cudowny Źródło” za swoistą lokalną świętość.

Jerzy Samp

Wędruj razem z nami

odbędzie się na trasie Wejherowo-Mrzeszino. Zbiórka uczestników w holu dworca PKP w Wejherowie o godz. 10. Dojechać można pociągami

z Gdańska o 8.36, z Wrzeszcza 8.43, z Oliwy 8.51 i Gdyni o 9.11.

• W niedzielę na wycieczkę do Kartuz i Łapalic (długość

trasy ok. 14 km) zaprasza Klub Turystyczny Wanoga. Zbiórka uczestników o 9.45 na dworcu PKP w Gdyni, skąd nastąpi wyjazd do Kartuz o godz. 10. Powrót z wycieczki ok. godz. 17.

(mir)

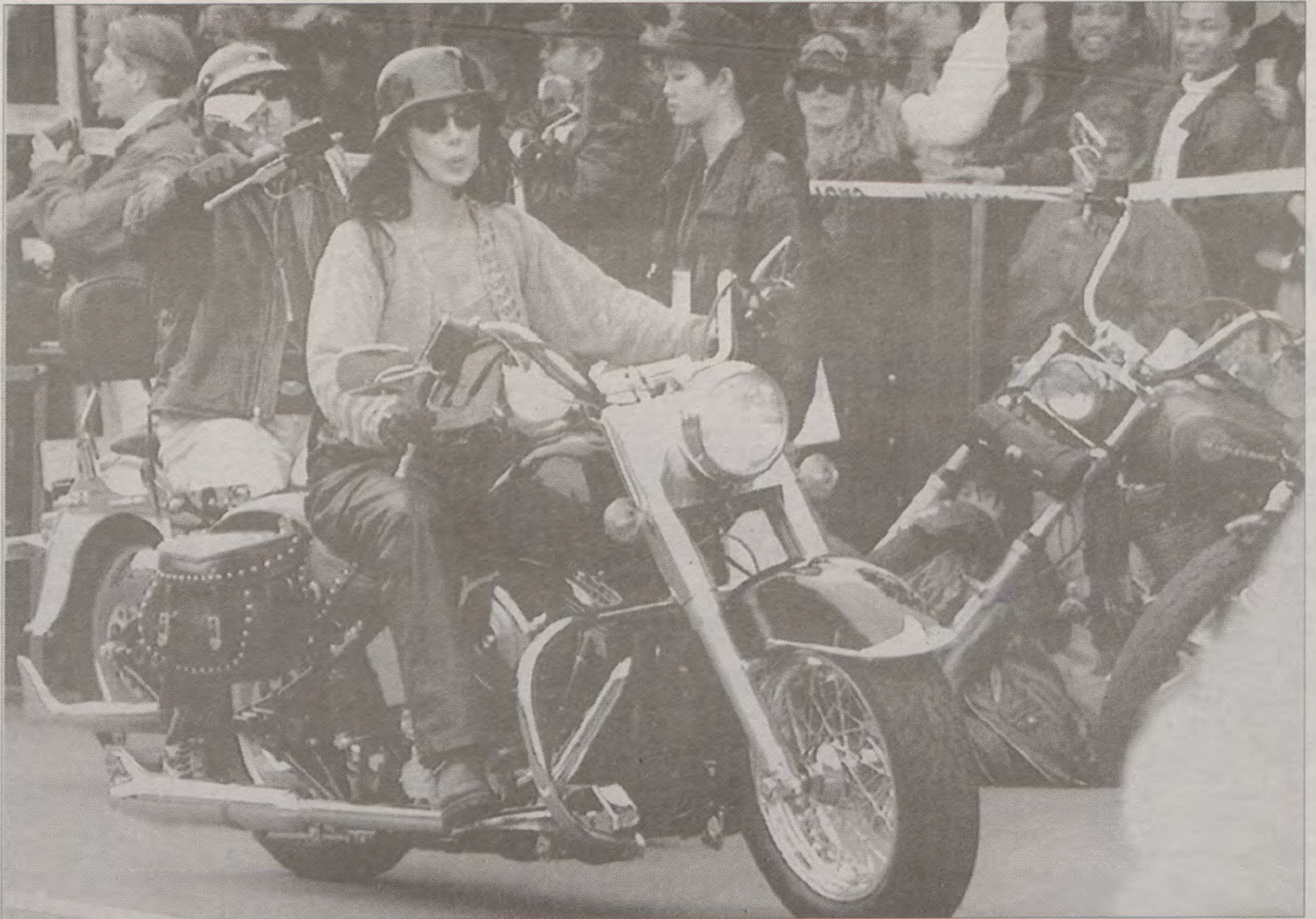
Czego potrzebuje
współczesny
mężczyzna?

Zapach mitu

Jak głoszą wszytkowie-
dzące statystyki, markę
Harley-Davidson zna 90
procent mężczyzn i 10 pro-
cent kobiet. Jest to światowy
fenomen, którego sukces
wciąż rośnie. Na liście
wielbicieli i użytkowników
tych motorów-legend znaj-
dują się wielcy i głośni ak-
torzy i piosenkarze: Elvis
Presley, Steve Mac Queen,
Peter Fonda, Bruce Spring-
steen, Sylvester Stallone,
Brigitte Bardot, Johny Hal-
liday, Dennis Hooper, Mal-
con Forbes, Serge Gains-
bourg i wielu, wielu in-
nych. O harleyowcach krę-
cone głośne filmy, na które
publiczność waliła maso-
wo: The Wild One
(1953r.), Easy Rider
(1969r.), Electra Glide in
Blue (1973r.).

Harley-Davidson to spe-
cjalna linia, to inny styl,
dobra jakość, romantyka
i sposób na życie. Potężny,
kniący motor kojarzy się
z olbrzymimi amerykań-
skimi przestrzeniami, wol-
nością, mocą, przygodą.
Silnymi przeżyciami i do-
świadczeniami, emocjami
i zmysłami. To w sam raz
coś dla prawdziwego mę-
czyzny. Więc czy takie coś
można nie zauważyć i nie
wykorzystać? Absolutnie
nie można! Firma L'Oréal
wylansowała w 1995 roku
zestaw kosmetyków Le-
gendary Harley-Davidson,
które wypromowała wkrót-
ce potem i w Polsce. Pro-
dukt odniósł wielki świato-
wy sukces. Liczni fani „za-
pachu wolności” mogą
skrapiać się aż do upojenia
perfumowanymi dezodo-
rantami, wodą toaletową i
płynem po goleniu w pię-
ciu kolorach i tyluż zapa-
chach: Golden Sun - żółty,
Fresh Spirit - zielony, Hot
Road - czerwony, Free
Space - niebieski i Original
- czarny. Dla wszystkich
tych wonności zaprojekto-
wano specjalne, błyszczą-
ce metalowe opakowania,
czerpiące inspirację z naj-
piękniejszych modeli Har-
ley-Davidsonów. W rekla-
mowej ulotce L'Oréal
twierdzi, że dezodoranty
z tej serii symbolizują to,
czego dzisiejszy mężczy-
zna potrzebuje najbardziej:
skuteczność działania, no-
woczesność opakowania
i świeżość zapachu. W tej
kolejności. Gdy już ON
zademonstruje swoją sku-
teczność w nowoczesny
sposób, będzie czas, drogie
panie, aby go obwąchać.

Rit.



Cher, amerykańska śpiewająca aktorka, na czele parady Harleyowców w Beverly Hills w Kalifornii.

Fot. PAP/IEPA

Harleyowiec stał się synonimem twardziela

Legenda wolności

Nie chodzi o prędkość. Tę pozostawia się „japończykom”. Chodzi o charakterystyczny „gang” silnika, sylwetkę „swobodnego jeźdźcy” i o legendę, która choć na krótki weekend, przenosi w inny świat. Harley-Davidson - legenda wolności. Wprawdzie podstarzała już nieco, ale przeżywająca w Polsce ostatnio swą drugą młodość.

Polscy harleyowcy dzielą się na trzy kategorie.

Krezusi

Wojtek Piotrowicz należy do kategorii pierwszej. Czyli do tych, których na kupno - nie taniego przecież - harleya stać. Do elitarnego klanu harleyowców przystąpił trzy lata temu. Stało się to nagle. Któregoś dnia poraziło go lśnienie motoru, stojącego na wystawie sklepowej. „Musi być mój”, pomyślał. Trzeba było jeszcze tylko uzbierać 300 milionów starych złotych.

Dla tych, którzy chcieliby pójść w jego ślady, warto od razu zaznaczyć, iż cena „wolności” jest dziś wyższa. W salonie w Zielonce koło Warszawy najtańsza wersja, czyli sportster 883 (sportster to model lat 50.) kosztuje 17,8 tysiąca marek niemieckich. Model electra glide classic - 37,9 tysiąca, a ultra classic electra glide - 43,7 tysiąca DM.

Od gajowego i listonosza

Nic więc dziwnego, iż wśród polskich harleyowców liczna jest także kategoria dru-

ga, czyli ci, którzy na nową maszynę nie mają. Składają ją więc sami, wygrzebuując z zapadłych dziur szczątki harleyów WLA, których 10 tysięcy sztuk otrzymali w latach II wojny światowej Rosjanie i których część trafiła później do rąk polskich gajowych i listonoszy.

Trzecia wreszcie kategoria to harleyowcy, którzy na swoją maszynę nadal czekają. Na razie jeżdżą produktami własnego wyrobu, wzorowanymi na amerykańskiej legendzie, ale złożonymi z bardziej dostępnych części Volkswagena „garbusa” czy dawnego Junaka.

Wymyślony nad jeziorem

Pierwszy harley powstał w 1903 roku w Milwaukee, amerykańskim miasteczku nad jeziorem Michigan. W historii osławionego motoru jezioro odegrało ponoć niebagatelną rolę, gdyż Arthur Davidson i William Harley byli wędkarzami. Nie na tyle jednak namiętnymi, by męczyć się jazdą nad jeziorem na rowerze. Kiedy w mieście pojawiły się pierwsze rowery z silnikami spalino-

wymi, szybko podchwycili pomysł. A że pracując w firmie inżynierskiej Barth Manufacturing mieli pewne doświadczenie, już w 1904 roku udało im się sprzedać pierwszą maszynę.

Kilka lat później Harley opracował swój pierwszy dwucylindrowy silnik w układzie widlastym, zwanym krótko V, który stał się znakiem rozpoznawczym harleya. Dzisiejszy kształt zawdzięcza latom trzydziestym, gdy w rywalizacji z Indianem, słynnym wówczas producentem maszyn dla policji, zrodziły się motocykle ciężkie. Później otrzymały nazwę „chopperów”. Miały wydłużony przedni widelec i podniesioną kierownicę, pozwalającą siedzieć prosto. Złote czasy dla fabryki skończyły się pod koniec lat 50. Społeczeństwo amerykańskie stało się już na tyle bogate, iż z motorów przesiadło się do samochodów.

Moda na mit

Wtedy z pomocą przyszła fabryce legenda. Oto mierny wydawałoby się film niezależnego producenta, stał się hi-

tem. „Swobodny jeździec” przedstawiał historię eskapady po południu USA dwóch młodych motocyklistów, żyjących z przemytu narkotyków. „Jesteście wolnością” - powiedział harleyowcom z ekranu kinowego Jack Nicholson. Harley zastąpił dawnego mustanga.

Harley stał się modny. Na „chopperach” chętnie zaczęły się pokazywać gwiazdy filmu, jak Arnold Schwarzenegger. Sylvester Stallone chlubił się posiadaniem aż sześćdziesięciu maszyn. Metodę szybko podchwycił i umiejętnie nakręcał przemysł. Harleye obrosły masą gadżetów, poczynając od koszulek z wizerunkiem rozpostartego orla, a kończąc na dezodorantach - nieodzownych dla biznesmenów, przebiegających się na weekend z garniturów w skórzane czarne stroje i ruszających z hukiem silników w drogę.

Dzisiejsze wyposażenie harleyowca to: kurtka skórzana w cenie od 1,2 do 2,4 tysiąca złotych, spodnie skórzane - 1 do 1,4 tysiąca, buty skórzane - 700 do 800, czapki - 80 do 200, rękawiczki - 70 do 350 i koszulki „firmowe”, kosztujące 60 złotych.

Klub twardzieli

Harleyowiec stał się synonimem twardziela. Ale harley daje coś jeszcze: przynależność

do grupy ludzi, spotykających się co jakiś czas na zjazdach i żyjących ze sobą. To także próba odtworzenia więzi międzypokoleniowych, mocno nadwerżonej w XX wieku. Łysiejący i siwi harleyowcy piją piwo i rozmawiają ze „skórzanymi kurtkami”, młodszymi o dwadzieścia, trzydzieści lat. Z ojcami przyjeżdżają dzieci, które już marzą o tym (przynajmniej tak ojcom się zdaje), by kiedyś przejąć „choppera” w swoje ręce.

W Polsce pierwszy klub Harleya-Davidsona powstał pod koniec lat 60. Jego współzałożycielem był Wojtek Echilczuk (w 1993 roku pierwszy właściciel salonu Harleya-Davidsona w naszym kraju), który swego WLA odkupił w latach 60. od kombatantha I Armii WP. W 1973 r. na pierwszy polski zlot w Wolsztynie zjechało kilkuset motocyklistów. Potem długo nic się nie działo. Dopiero w połowie lat 80. zawiązany został klub Harley-Davidson Raiders of Poland. Jego animatorem był m.in. Ireneusz Pyra, jedyny w Polsce producent części do harleyów na skalę przemysłową. Raiders of Poland liczy 40 członków. Podobnych klubów działa dziś w Polsce kilkanaście.

Andrzej Miklaszewski

Auto Salon

Oko w oko
z MAXX-em

Czy wychodząc z domu zawsze, niezależnie od pory roku, pogody i nastroju musimy wkładać to samo ubranie? Oczywiście - nie! Tymczasem nasze auto jest ciągle takie samo, niezależnie od tego, czy wybieramy się na plażę, do teatru czy na urlop. Ten problem uznali za kluczowy konstruktorzy zakładów Opla, próbując udowodnić, że samochód może dostosowywać się do potrzeb swego właściciela.

Efektem ich pracy jest MAXX, nowoczesne autko miejskie, po raz pierwszy pokazane publiczności ubiegłorocznego Salonu Samochodowego w Genewie. Kolejne prezentacje - we Frankfurcie i znów w Genewie, w tym roku - świadczyły, że nad prototypami trwa praca, że koncepcja samochodu jest stale rozwijana i doskonalona.

Jeden z dwóch jeżdżących prototypów Opla Maxx na kilkanaście godzin sprowadzono niedawno do Sopotu. Przedstawiciele General Motors Poland obiecali dziennikarzom motoryzacyjnym nie lada gratkę: testowe jazdy miejskim samochodem XXI wieku.

Niestety, okazało się, że MAXX dotarł do Polski z pokazu w Szwecji z uszkodzoną elektroniką. Z próbnych jazd musieliśmy więc z żalem zrezygnować. Sam jednak bliższy kontakt z pojazdem, który dotychczas oglądać można było jedynie z zewnątrz, stanowił ciekawą doświadczenie.

Auto inne niż wszystkie

- to, jak wynika z badań rynkowych, marzenie prawie połowy europejskich kierowców, szczególnie częste wśród osób z grupy wiekowej 16 - 24 lat. W Ośrodku Rozwoju Technicz-

nego Opla w Russelsheim zaczęto więc przed kilkoma laty zastanawiać się nad ideą samochodu, który nie tylko byłby idealnym pojazdem miejskim, ale też pozwalał w warunkach sporego komfortu podróżować po szosie i autostradzie, a przy tym oferowałby właścicielowi niespotykaną dotychczas możliwość włączenia się niejako w proces projektowania auta.

Wiadomo było z góry, że tradycyjne technologie i materiały na to nie pozwolą. Minipojazd nazwany przewrotnie MAXX otrzymał więc szkielet zgrzewany z profili aluminiowych, osłonięty poszyciem z również aluminiowych blach. Odporna na korozję, sztywna i lekka konstrukcja zaprojektowana została modułowo, tak, aby z wykorzystaniem podstawowych elementów można było budować całą gamę wersji użytkowych: minivana, samochód dostawczy, kabriolet, taksówkę, a nawet małego jeepa.

Co więcej: zastosowana konstrukcja pozwoliła na przygotowanie obok wersji podstawowej, dwudrzwiowej o długości niespełna 3 metrów, również dłuższej o ok. 60 centymetrów odmiany czterodrzwiowej.

Dla samochodu, który ma być - jako się rzekło - nie tylko zwrótnym pojazdem miejskim, ale i autem nadającym się na dłuższe podróże, konstruktorzy Opla przewidzieli na początek trzy i czterocylindrowe silniki spalinowe, wielozaworowe

o mocy od 30 do 50 KM, choć myśli się też o innego typu jednostkach napędowych.

Jakież to małe!

- mimo woli przychodzi nam myśl, gdy widzi się MAXX-a nie na stoisku, lecz w plenerze. Jednobryłowe, srebrno-zielone metalizowane nadwozie na szeroko rozstawionych kołach sprawia wrażenie zabawki. Ale wrażenie to mija po zajęciu miejsca za kierownicą auta. Dwie osoby mają tu nie mniej miejsca niż w „dorosłym” samochodzie. Dwuosobowa kanapka na szkieletzie z aluminiowych, a jakże, rurek ma miękką wykładzinę tylko na siedzisku i zagłówkach, ale jest całkiem wygodna. Małym przyciskiem w zagłówku kierowcy wyłącza się zapadkę, umożliwiającą obrót kanapy wokół centralnego zamocowania. Dzięki temu możliwe jest zajęcie miejsc na tylnej, składanej ławeczce. Tu jest zdecydowanie ciasno: jeden z kolegów-dziennikarzy musiał w trakcie wciskania się do tyłu zdjąć nawet... okulary.

Kierowca MAXX-a ma przed sobą tradycyjne koło kierownicy z nie mniej tradycyjnym zespołem dźwigniów sterujących kierunkowskazami i wycieraczkami. Brak jednak zegarowych wskaźników. Zastępuje je ekran, na którym wyświetlane są wszelkie potrzebne prowadzącemu auto informacje. Na ekranie pojawiają się też dane

z komputera pokładowego oraz wskazania systemu nawigacji drogowej. Po obu stronach osłony nad ekranikiem ułożono dwa duże płaskie klawiatory: prawy służy do zmiany światła, lewy steruje skrzynią biegów. MAXX daje bowiem kierowcy wybór: albo przekładnia w pełni automatyczna, albo zmiana przełożeń ręczna, choć za pośrednictwem elektroniki. Reżim pracy wybiera się pokrętką obok kierownicy. Sprzęgło - oczywiście automatyczne, zatem lewa noga kierowcy nie ma zatrudnienia. Na tablicy przyrządów i w drzwiach ułożono duże schowki. Jest też wkomponowany w tablicę przyrządów telefon komórkowy. Dość zaskakujące wydaje się na pozór zastosowanie niedużych, odsuwanych szyb w drzwiach, ale - po pierwsze - zmusiła do tego konstrukcja samych drzwi, po drugie zaś MAXX z założenia ma mieć system klimatyzacyjny. Auto XXI wieku musi być bezpieczne: kierowca i pasażer mają air bag, pasy bezpieczeństwa wyposażono w napinacze, w drzwiach umieszczono masywne profile usztywniające.

Zrób to sam

- realizacja tego hasła okazuje się w przypadku MAXX-a bardzo konsekwentna. Odkręcenie dwóch dużych nakrętek po-

zwala na zdjęcie poszycia drzwi, czterech kolejnych - na usunięcie półprzezroczystego dachu. Tylne ławeczka składa się z płaskiego pakuneka z uchwytem, powiększając przestrzeń bagażową, do której dostęp też można poprawić, odłączając od nadwozia tylną szybę wraz z aluminiowym obramowaniem. Wszystkie operacje są dziecinnie proste. W kilka minut minivan zmienia się w ażurowy pojazd plażowy. Pytanie, czy umocowane w taki sposób elementy wyposażenia nie hałasują na nierównościach drogi, pozostaje bez odpowiedzi.

Zaprezentowany na pokazie w Sopocie egzemplarz MAXX-a okazał się dość tradycyjny jeśli chodzi o

mechanizmy.

Napędza go trzycylindrowy silnik benzynowy o pojemności 1000 cm sześć. z dwoma wałkami rozrządu w głowicy i czterema zaworami na każdy cylinder. Jednostka napędowa współpracująca z automatyczną przekładnią ułożona jest poprzecznie z przodu i napędza koła przednie. Przednie zawieszenie - to klasyczny MacPherson, ale zarówno wahacz jak górne mocowanie zwrotnic kolumnowych wykonane są z aluminium. Z tyłu - nie mniej klasyczne wahacze wleczone połączone belką skrętną. Układ hamulcowy mieszany: z przodu tarcze, z tyłu bębny, do tego układ antypoślizgowy. MAXX ma koła ze specjalnie dla tego auta opracowanymi oponami Continental zupełnie nietypowego wymiaru: 145/65/15. Ich opory toczenia są radykalnie zmniejszone w porównaniu z ogumieniem seryjnym.

Czy kupimy MAXX-a?

- na razie to pytanie jest całkowicie chybione. Zastosowane technologie, zwłaszcza strukturalna nośna ze zgrzewanego aluminium, są bardzo kosztowne i nie nadają się do masowej produkcji. Nie należy więc się spodziewać aby auto w dzisiejszej postaci trafiło do sprzedaży. Ale obecne tournée MAXX-a po Europie ma niewątpliwie charakter sondażu rynku. Podobnym z kształtu, choć znacznie większym samochodem jest minivan na bazie Astry, którego premierę zaplanowano na rok 1998. Być może więc także jakaś kolejna wersja MAXX-a wzbogaci z czasem program produkcyjny Opla.

Marek Ponikowski
Zdjęcia: Opel Public Affairs



Adam Kaznowski
Fot: Robert Kwiatek

Za kierownicą

Adam
Kaznowski
wydawca
„The
Coastal
Times“

Urodziłem się w Anglii, tam też zdobyłem prawo jazdy. Każdy kto w tym kraju siada za kierownicą ma wręcz od kołyski wpojona zasada, że w ruchu drogowym należy być życzliwym i uступliwym, w szczególności w stosunku do pieszych. Gdy się tego przestrzega, cała reszta przychodzi łatwo.

Podstawowa różnica między Anglią a Polską to więc, wbrew pozorom, nie problem przestawienia się z ruchu lewostronnego na prawostronny, ale kwestia kultury. Zresztą nawet polskie przepisy nie sprzyjają jej rozwinięciu. Dlaczego na przykład stosuje się nagminnie przy sygnalizatorach zielone strzałki, zezwalające na skręt w prawo także przy czerwonym świetle? Ile wypadków zdarzyło się już z tego powodu! Ilu kierowców utwierdziło się w mniemaniu, że są królami jezdni! Nie bardzo też rozumiem, dlaczego zezwolono na wyprzedzanie z prawej strony na jezdniach wielopasmowych - to także bardzo niebezpieczne i odmienne od przepisów w całej Europie. Także oznakowanie niektórych skrzyżowań wręcz prowokuje do kolizji i wypadków.

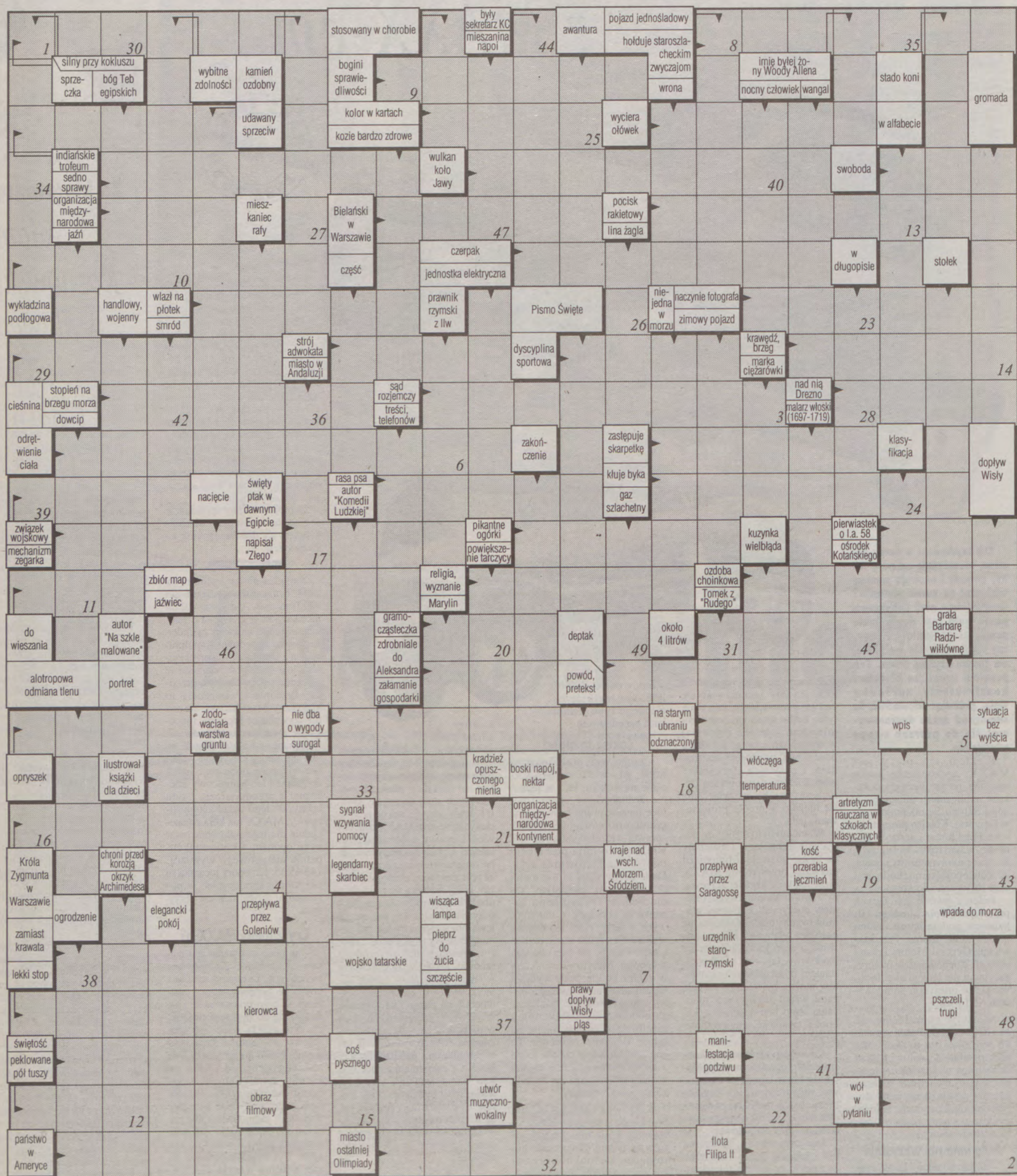
Narzekam na kulturę ruchu drogowego w Polsce, ale muszę wspomnieć o wydarzeniu, które traktuję jako symptom pozytywnych zmian. Ostatnio byłem dłuższy czas w Anglii i po powrocie „na pamięć” wjechałem w ulicę Haffnera w Sopocie nie wiedząc, że stała się ona tymczasem jednokierunkowa. Jadąc z przeciwka samochód błysnął światłami i zablokował mi drogę, a jego kierowca włączył niebieskiego „koguta” na dachu. Po chwili wysiadł i widząc mego Passata z brytyjskimi numerami rejestracyjnymi oraz z kierownicą z prawej strony płynną angielszczyzną zwrócił mi uwagę na popełnione wykroczenie. Uprzejmie się ze mną pożegnał i odjechał.

Nie ukrywam, że byłem nieco zaskoczony. Ale było to przyjemne zaskoczenie!

(mjp)

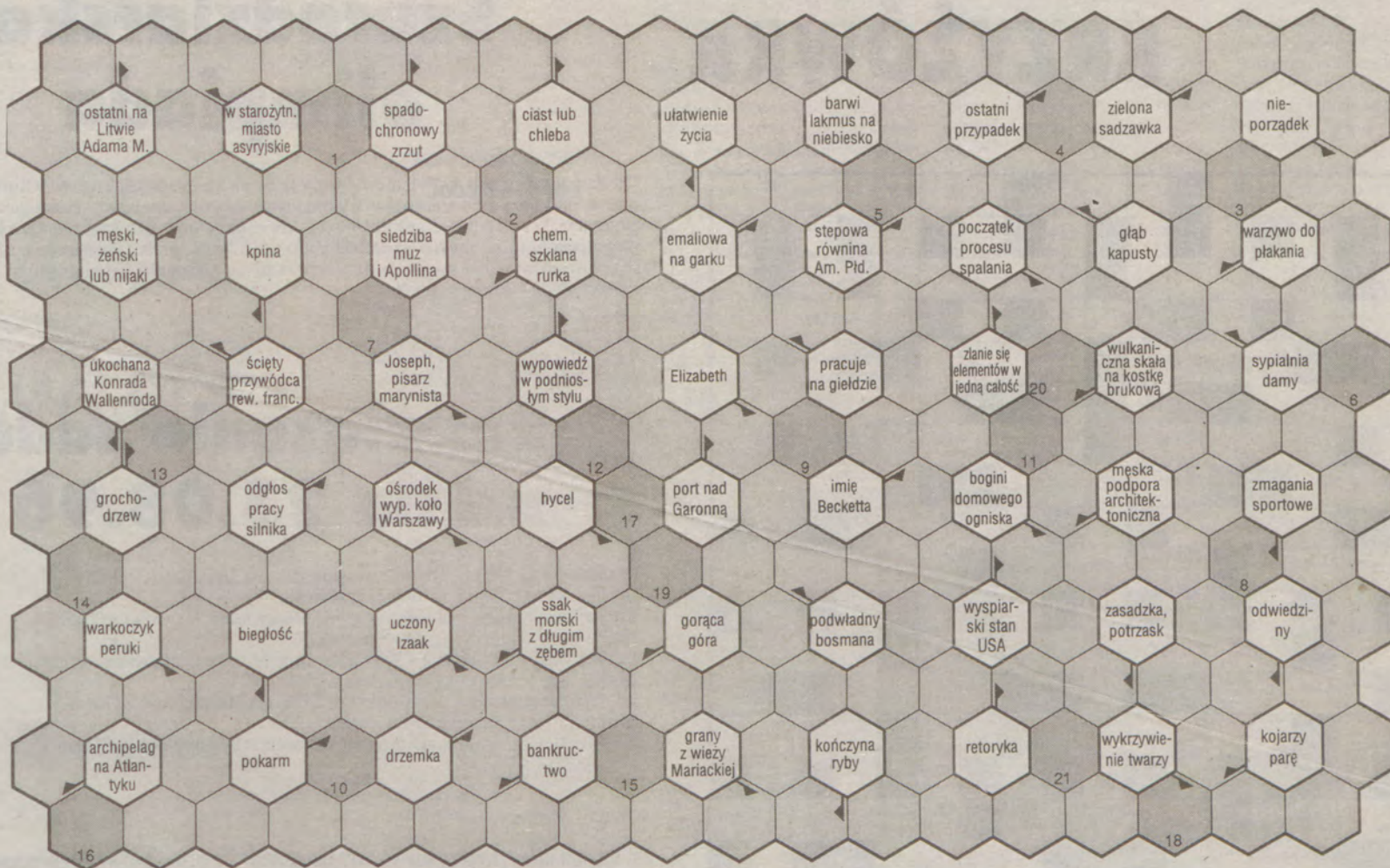
Pomyśl!

KRZYŻÓWKA ZA 250



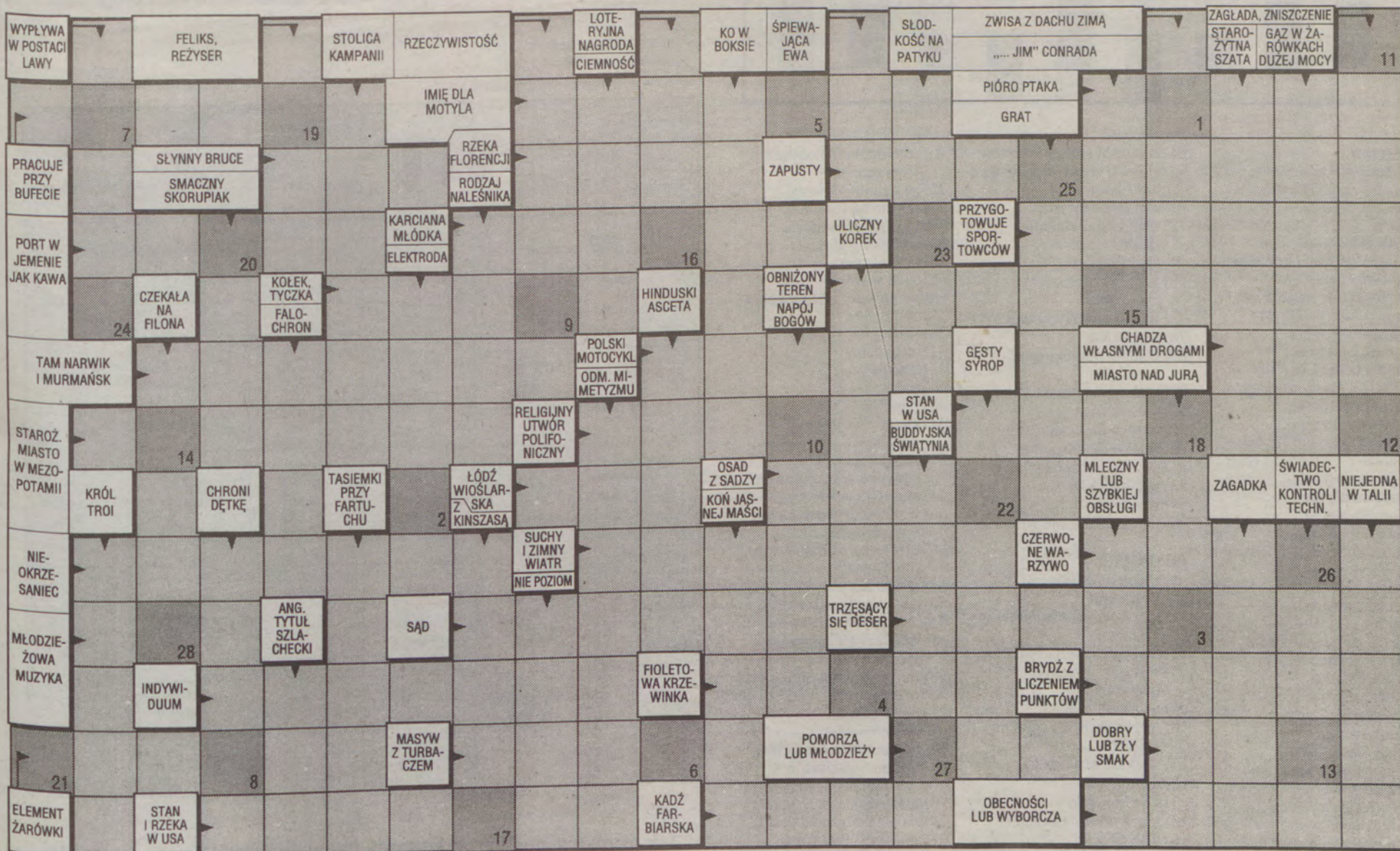
Czytelnicy, którzy uporają się z tą wielką krzyżówką i przysła do 16 września hasło, utworzone z liter na zaznaczonych polach, mają szansę wylosować nagrodę pieniężną w wysokości 250 zł.

WIRÓWKA



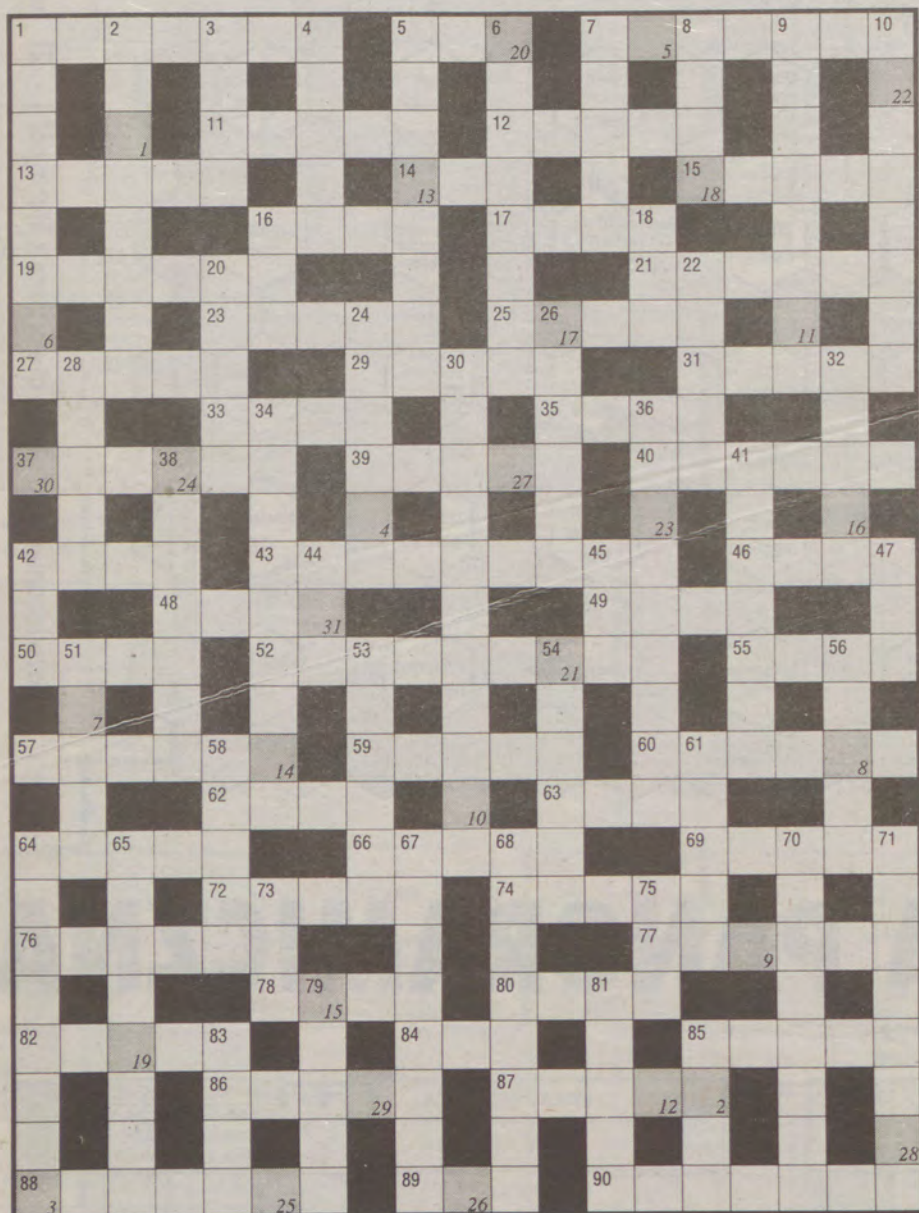
Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól 1 - 21 (aforyzm)

KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA



Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól 1 - 28 (aforyzm)

KRZYŻÓWKA



POZIOMO:

- 1) kłębiasta chmura składająca się z kropelek wody
- 5) lilak
- 7) deszczochron
- 11) autor „Boskiej komedii”
- 12) drobne monety
- 13) sposób odżywiania się
- 14) nie pasuje do karety
- 15) śruba
- 16) serek z pleśnią
- 17) moneta dla Charona
- 19) Enrico, najsłynniejszy tenor operowy
- 21) dorosły Idzi
- 23) Poznańskie lub Niptel
- 25) suma
- 27) gra na deskach
- 29) pokaz, parada
- 31) koniec tunelu
- 33) odgłos
- 35) instrument dęty blaszany z wentylami
- 37) bije w bęben
- 39) cukierki w ruloniku
- 40) przed nim kapłan
- 42) jedzenie niemowlaka
- 43) typ wycieraczki
- 46) cztery kółka
- 48) drugi miesiąc
- 49) tęczowo zabarwiony kamień
- 50) nad nią Nidzica
- 52) ruchoma zasłona okna
- 55) lwica z buszu
- 57) zwolennicy Jakuba II
- 59) stan upadku
- 60) robienie jedwabiu, wełny
- 62) między brodą a nosem
- 63) sportowy strój

- 64) wyspa Wielkich Antylów
- 66) stopień w dawnym wojsku kozackim
- 69) zwierzę na jezdni
- 72) jednostka indukcji magnet.
- 74) słynny Allen
- 76) gorczy lub trofeum zwycięzcy
- 77) lotnisko w Warszawie
- 78) nad okiem
- 80) Danuta poszukująca mężczyzn
- 82) ptak z czubem na głowie
- 84) pleśniawka
- 85) twórca impresjonizmu
- 86) skarbowy lub celny
- 87) dawne aptekarskie 30 g
- 88) nad nią Gdańsk
- 89) nandu
- 90) polskie sztuczne włókno

PIONOWO:

- 1) Chrześcijańska Demokracja
- 2) kawałek ciała niebieskiego na Ziemi
- 3) matka Kastora i Polluksa
- 4) wykrywa obiekty podwodne
- 5) awantury, hałasy
- 6) nieciekawie wyszedł na mydle
- 7) większe niż działka
- 8) na nim bokser
- 9) szachrajstwo
- 10) język obcy na uczelni
- 16) wąż na szyi
- 18) srebrzystobiały, bardzo lekki metal
- 20) stan ogólnej mobilizacji sił organizmu
- 22) serca lub górniczy
- 24) miasto na Litwie
- 26) towarzysz Holmesa
- 28) rzucona pod nogi
- 30) koszula pątnika
- 32) ruch wirowy
- 34) przepisany z brudnopisu
- 36) Napoleon
- 38) szukał ich Hilary
- 41) strój damy
- 42) dumny ptak
- 44) haust
- 45) pled
- 47) rzeka z wojskowej piosenki
- 51) wysiaduje jaja
- 53) państwo z Tel Awiwem
- 54) ślusarski uchwyt
- 56) liczb rzeczywistych lub wymiernych
- 58) cykliczna forma muzyczna
- 61) wśród bekasów
- 64) tor wyścigów konnych
- 65) zajście, wydarzenie
- 67) graniczy z Gwatemalą i Hondurasem
- 68) muzyczny wstęp do opery
- 70) odnoga drogi
- 71) handlowe biuro pośrednictwa
- 73) metal występujący w minim. ilościach w skorupie ziemskiej
- 75) hiszpański „pan”
- 79) na niegrzeczne dziecko
- 81) miasto w Prowansji
- 83) zgraja
- 85) z Bamako

Szaradziarska olimpiada

Od dziś do niedzieli w Polanicy Zdroju odbywa się pierwsza krajowa Olimpiada Szaradziarska. Bierze w niej udział 64 finalistów wyłonionych we wcześniejszych eliminacjach. Startują oni w 8 konkurencjach, polegających na układaniu i rozwiązywaniu różnych szaradziarskich zadań na czas.

Organizatorami olimpiady są Polski Związek Szaradziarski i miesięcznik „Rebus”. W jego październikowym wydaniu można będzie zapoznać się z zadaniami olimpijskimi. Kolejna olimpiada - za cztery dopiero lata, w roku 2000!

Rozwiązania zadań z dnia 23.08.96 r.

Krzyżówka za 250 zł - nagrodę otrzymuje Irena Kaczmarek z Juraty.

Hasło: „Najlepsze płótna to te niemalowane”

Krzyżówka zwykła - nagrodę otrzymuje Jerzy Miecznikowski z Gdańska.

Hasło: „Tylko głupcy się nie zmieniają”

Krzyżówka Panoramiczna - 50 zł otrzymuje Monika Gałkowska z Rumi.

Hasło: „Nic tak nie wpływa na ducha jak ciało”

Krzyżówka wirówka - 50 zł otrzymuje Danuta Maramorosz z Gdyni.

Hasło: „Władza zmienia człowieka”.

Za łamigłówkę - kosmetyki otrzymuje Zuzanna Lewandowska z Gdańska.

Na Czytelników, którzy do 16 września nadesłają prawidłowe rozwiązania naszych zadań

czekają następujące nagrody:

za WIRÓWKĘ - 50 zł; za KRZYŻÓWKĘ ZWYKŁĄ - 50 zł;

za KRZYŻÓWKĘ PANORAMICZNĄ - 50 zł; za ŁAMIGŁÓWKĘ komplet kosmetyków.

Odpowiedzi należy opatrzyć właściwymi dopiskami.

Nasz adres: Dom Prasy, 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, Biuro Konkursów.

		1		2	2
1	3		3		
			3	3	1
	3	2		3	
				2	

Jak uzupełnić powyższy diagram, aby w każdym wierszu i w każdej kolumnie cyfra 3 występowała dokładnie trzykrotnie, cyfra 2 - dwukrotnie, a 1 tylko jeden raz

Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól 1 - 31 (powiedzenie)

Namolne chwasty

Z wędką

Płaski, okropnie ościsty, często mylony z młodym leszczem - krap - jest o tyle sympatycznym chwaścikiem, że można go od biedy konsumować. Żarłoczny, bierze przez cały rok, a potrafi tak się rozplenić, że wpędza w biedę inne, szlachetniejsze gatunki. Co z tego, że wygrywał niejedne zawody, skoro po ich zakończeniu spoczął w masowym grobie.

Gorzej sprawa wygląda z kolką czyli ciernikiem. Ten opancerzony żołądek nijak do niczego nie pasuje. Daleki krewniak konika morskiego a zachowuje się -



Rys. Wiesław Matuszek

bez sensu - jak ptaszek. Tatus ciernik wije gniazdko z patyczków, nianczy maleństwa, maleństwa rosną, rosną aby - gdy dorosną - być bez sensu. Dorastają zaś do wymiarów niezbyt imponujących (5, góra 7 cm), za to apetyty mają wręcz imponujące. Nierzadko zdarza się, że kilkunastocentymetrowy cierniczek zawiśnie na kilka razy dłuższej od siebie gliście. Ta kutwa woli udławić się zdobyczą niż dopuścić konkurenta do koryta. Nie dziwny się więc, kiedy wędkarz, zaczajony na węgorza, zaczyna wściekle walić wędką o murawę... a fe! ładnie to tak, znęcać się nad wzorowym tatusiem? Chyba że... to latawica - mamuśka, ale kóż to może zbadać, wszystko takie małe.

Jazgarz - kolejne indywiduum. Koleczaste, najeżone, okoniowate i też małe i też żarłoczne. Wprawdzie jazgarze mogą dorastać „nawet” do 15 centymetrów, ale na wędce wieszają się głównie „okazy” niewiele większe od... zapalki. I co z takim konusem robić? Ano coś można. Otóż koneserzy twierdzą, że w zupie rybnej powinien znaleźć się choć jeden jazgarz - poność znakomicie poprawia jej smak. Poza tym, jazgarz dobrze bierze zimną, pod lodem, dlatego ci, którzy za nie nie mogą rozstać się z kijem nawet w największe mrozy, nieco cieplej patrzą na tę miniaturkę zdobyczą niż my, normalni, których takie łowienie do zupy po prostu nie rajuje.

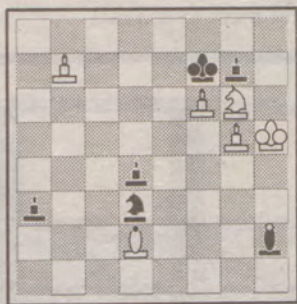
Jednakowoż smacznego.

Mat.

Szachy

pod redakcją Piotra Sobolewskiego

W. Smysłow 1937



Kontrola diagramu: B: Kh5, Gd2, Sg6, p.: b7, f6, g5.; C: Kf7, Gh2, Sd3, p.: a3, d4, g7. Jak nie trudno stwierdzić, czarne bez trudu promują pionka a do hetmana. Co tej groźbie mogą przeciwstawić białe? Na pierwszy rzut oka nie widać ratunku, a przecież białe uzyskują remis! Jego znalezienie będzie zapewne dla wszystkich Czytelników dużą frajdą.

Gasnąca gwiazda! W Polanicy zakończył się XXXIII Międzynarodowy Festiwal Szachowy im. A. Rubin-

steina. O przebiegu walki na szachownicach informowałem na bieżąco na kolumnie sportowej naszej gazety w tym miejscu ograniczę się zatem do podania wyników oraz kilku refleksji na temat festiwalu widzianych oczami jego uczestnika. Zaczniemy od rezultatów. Turniej arcymistrzowski: 1. A. Bielawski Słowenia 7,0 ; 2-3. S. Rublewski Rosja, P. Nikolic Bośnia i Hercegowina po 6,5 ; 4-5. R. Hübner Niemcy, R. Kempinski Polska po 6,0 pkt; 6-8. I. Rogers Australia, M. Krasenkow Polska, Z. Hracek Czechy wszyscy po 5,5. Turniej Open „A”: 1-2. R. Szerbakow Rosja, S. Wysochin Ukraina po 8,0; 3-6. M. Vokac Czechy, B. Macieja, P. Staniszewski obaj Polska, A. Stripunski Ukraina po 7,5.

Turniej Open „B”: 1-2. K. Jurkiewicz Jantar Pruszcz Gdański, B. Stejnberg Ukraina po 7,5 ; 3-8. S. Bondarczuk, G. Rumiancow obaj Ukraina, P. Gralka Chemik Bydgoszcz, S. Cakorin Ukraina, W. Mieczewicz Kolarz Zielona Góra, B. Michałek Start - Zakrzewo Elbląg po 7,0. Najlepiej z pań grała J. Skrochocka MDK Malbork. Kilka słów o festiwalu oczami jego uczestnika.

Turniej arcymistrzowski z roku na rok zyskuje na randze - w tegorocznym grali już zawodnicy światowej elity, jakich dawno nie oglądaliśmy

w naszym kraju. Piękna sala gry, błyskawicznie wydawany i bezbłędny(!) biuletyn tłumy kibiców i atmosfera szachów przez duże „S” i jakże do tej całości nie przystające tablice demonstracyjne będące również szachami polanickiego turnieju. Nie wiem jaki jest koszt zakupu 6 (słownie sześciu!) sztuk normalnych tablic demonstracyjnych, lecz z dużą dozą prawdopodobieństwa można je określić na kilkaset PLN, przy budżecie festiwalu wynoszącym przeszło miliard starych złotych... Czy naprawdę warto robić drobne oszczędności kosztem image naszego eksportowego turnieju?! Szachiści przyjeżdżający na równoległe rozgrywane turnieje Open byli witani informacją, że zakwaterowani mogą zostać w licznych w Polanicy domach wypoczynkowych pod warunkiem wszelako... wykupienia całonocnego wyżywienia! Większość musiała ulec „sile spokoju” gospodarzy z braku alternatywy. Wydawałoby się, że podobne praktyki odeszły w niebyt wraz z socjalizmem realnym, tymczasem jak widać czasy się zmieniają - obyczaj niekoniecznie. Nie sądzę aby przysporzyły one reklamy polanickiej imprezie... Uczestnicy obu turniejów Open grali w Teatrze im. M. Cwiklińskiej. Piękna sala tego teatru z łatwością mieści w przyzwoitych

warunkach jednorazowo przeszło 200 graczy. Obraz idylli zakłóca niestety problem oświetlenia tej sali. Jak powszechnie wiadomo oświetlenie sali teatralnej w czasie spektaklu czy koncertu znacznie odbiega wymogami od oświetlenia sali turniejowej w czasie turnieju szachowego. Jestem realistą i nie roję mi się mrzonki w rodzaju założenia normalnego oświetlenia na czas trwania festiwalowych bojów, ale dlaczego na Boga nie można powymieniać w żyrandolach przepalonych żarówek?! Zamiast komentarza podam, że w tegorocznym festiwalu uczestniczyło o połowę mniej szachistów niż w ubiegłorocznym... Być może warto usunąć te drobne lecz jakże rzutujące na ocenę całości usterki, zanim bezpowrotnie zgaśnie ostatnia żarówka w Teatrze im. M. Cwiklińskiej w Polanicy...

Nagrody fundują Salony Sportowe KC Gdynia ul. Obrońców Wybrzeża; hol dworca głównego PKP; Gdańsk DT Sezam.



W brydżu jak w życiu

W dniach 22.25.08.96 w Warszawie odbył się Międzynarodowy Kongres Brydżowy. Startowało wielu brydżystów zagranicznych oraz cała czołówka Polski. Kongres składał się z czterech turniejów par i turnieju teamów. W turniejach par startowało ponad 300 par, a w turnieju teamów 108 drużyn.

Znaczące sukcesy odnieśli zawodnicy z Gdańska. W punktacji generalnej kongresu drugie miejsce zajął Antoni Sękowski. W turnieju teamów trzecie miejsce zajął team w składzie: B. Gerulski, B. Matuszkiewicz, Z. Pinkiewicz, J. Piotrowski, A. Sękowski. W turnieju par trzecie miejsce zajęła para Grażyna Brewiak - Rafał Jagnewski. W konkurencji specjalnej w ka-

Międzynarodowy Kongres Brydżowy

Grand Prix of Warsaw

tegorii seniorów pierwsze miejsce zajęła para Z. Pinkiewicz - A. Sękowski.

Jak trudno w turnieju par było zdobyć maksymalny zapis tzw. maksa świadczy rozdanie przedstawione na diagramie.

Po zaporowym otwarciu E 2kier para NS wylicytowała bardzo optymistyczny kontrakt 7 pik. W skontrował i zawistował Królem kier. Rozgrywający Antoni Sękowski, Króla zabił atutem i ostrzeżony o złym rozkładzie pików zagrał 9 pik puszczając w koło. Dziewiątką wzięła lewę. Dalsza rozgrywka była prosta. Rozgrywający wziął 13 lew i szlema wygrał. Co prawda był to maksymalny zapis w turnieju ale dzielony, jeszcze trzy pary uzyskały taki sam zapis.

(Z.P.)

♠ AK102	
♥ 432	
♦ AK32	
♣ D2	
Z Pinkiewicz ♠ -	
N	♥ ADW1087
♦ 874	
♣ 10987	
S	
A. Sękowski	
♥ 98765	
♦ -	
♣ W1065	
♠ AKW3	

7 pik, wist Król kier, rozgrywa S

Nie tylko dla filatelistów

Wczoraj, tj. 5 bm. weszła do obiegu pocztowego 6-znaczkowa seria „Tatry Polskie” prezentująca kilka szczytów tatrzańskich i rośliny skalne. Autor serii Jacek Brodowski zaprojektował również 3 rodzaje kopert FDC i datownik okolicznościowy. Sprzedawano je w UP Zakopane. Jest to pierwsza seria pokazująca Tatry. Dotąd bywały tylko pojedyncze znaczki poczynając od 1935 r., kiedy to wydano znaczek prezentujący Morskie Oko w pięknej serii widokowej Boratynskiego. W 1938 r. znaczek pokazywał balon nad Doliną Chochołowską, a w 1953 r. Mor-

skie Oko w serii krajoznawstwa. W 1956 r. pokazano schronisko w Dolinie Pięciu Stawów (w serii: Turystyka). Pięciornazkową serię prezentującą schroniska górskie w Tatrach wydano w 1972 r., a w 100 rocznicę przewodnictwa górskiego serię przedstawiającą górską roślinność, w tym limbę i goryczkę na tle tatrzańskie krajoznawstwo. Obecnie wydana seria jest więc właściwie pierwszą tatrzańską serią. Znaczki mają nominały 40, 55 i 70 gr. Giewont - znaczek o najmniejszym nominale pokazywaliśmy już. Drugi znaczek za 40 gr - to Krzesanica - najwyższy szczyt Czerwonych Wierchów (2132 m). Na znaczkach po 55 gr jest Świnica (2301 m - zamieszczamy ten znaczek) wznosząca się nad Doliną Pięciu Stawów. Z jej szczytu rozciąga się wspaniały widok na Tatry i doliny.

Względnie łatwe dojście od Kasprowego Wierchu przyczyniło się do popularności tego szczytu wśród odwiedzających Zakopane. Drugi znaczek za 55 gr to popularny wśród turystów Kozielić (2158 m). Znaczki po 70 gr przedstawiają Mięguszo-veckie szczyty (Pośredni, Wielki i Czarny - nad Czarnym Stawem) oraz Rysy, z których pn.-zach. wierzchołek (2499 m) leżący na granicy jest najwyższym punktem w polskich Tatrach. Stąd podziwiać można najpiękniejszą, rozległą panoramę Tatr. Oglądając tatrzańskie znaczki warto pamiętać o taternikach i badaczach takich jak Stanisław Staszic, jak legendarne już postaci znakomitych zakopiańskich taterników i społeczników: dr Tytusa Chałubińskiego, Sabaly, ks. Józefa Stolarczyka, poetów i pisarzy poczynając od Wincentego Pola,

utrwalających w poezji i prozie urok i piękno Tatr.

A oto kilka okolicznościowych datowników: Do uzyskania jeszcze: Międzynarodowe Targi Lotnictwa i Astronautyki Aerointerlot 96 - stosowany 23.08 w UP Bydgoszcz 1. Również 23.08. w UP Osiek k/Skórcza „Ciemnogród 96” i 25.08 w UP Bydgoszcz 1 - Festyn Lotniczy Bydgoszcz 96 - 650-lecie miasta. W UP Słupsk 12 bm. będzie stosowany datownik „XXX Festiwal Pianistyki Polskiej w Słupsku”.

(t)



Nie trać czasu na szukanie...

Wkrótce jesień, czyli czas porządków. Zastanawiasz się gdzie ustawić letnie pamiątki i gdzie schować wszelkie drobiazgi, które tak łatwo gubią się w domu? Przyjdź do IKEA!
Regały IKEA to doskonałe miejsce dla Twoich pamiątek i ozdób, a w naszych pudełkach, szufladkach i skrzyneczkach schowasz wszystko. Z takim mnóstwem ciekawych rozwiązań i korzystnych cen już nie będziesz musiał niczego szukać!



16,90

BOALT
Półka z przegródkami



65,-

ENKEL
Regał.
W132cm x S132cm x G20cm



680,- To zestawienie

KUBIST
System meblowy.
W206cm x S100cm x G40cm



129,-

MAST
Regał.
W173cm x S74cm x G21cm



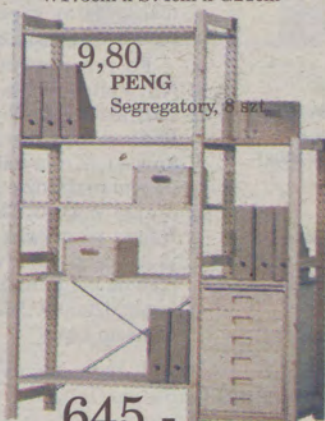
59,-

LACK
Półka. Montowanie do ściany.
D110cm x G26cm



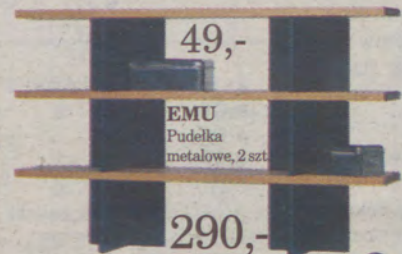
9,80

GÖTE
Skrzynka plastikowa składana.



9,80

PENG
Segregatory, 8 szt.



49,-

EMU
Pudełko metalowe, 2 szt.

290,-

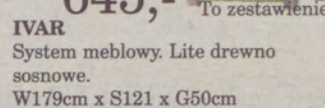
SKANARE
System półek
W106cm x S169cm x G35cm

16,90

PAPP F
Pudełko, 3 szt.

49,-

FILIP
Regał z litego drewna sosnowego.



645,- To zestawienie

IVAR
System meblowy. Lite drewno sosnowe.
W179cm x S121 x G50cm

27,-

BOALT
Półka/stojak na kasety video

29,-

NOBB
Szuflady / 2 szt.
55cm x 28cm



29,-

NOBB
Pudełko z pokrywą / 2 szt.
55cm x 40cm

29,-

BOALT
Półka/stojak na płyty CD



198,-

LIO
System półek.
W177cm x S74cm x G30cm



36,-



33,-

52,-

MOPPE
Seria skrzynek z niewykończonych sklejki brzozonej. Można malować, bejcować lub lakierować.

38,-



85,-

IKEA. Sklep pełen regałów, pudełek...

UWAGA! MAMY NOWE GODZINY OTWARCIA!

Gdańsk, ul. Grunwaldzka 471, pon. -piąt. 10.00-21.00, sob. 10.00-20.00, niedz. 10.00-18.00

